



ZYCIORYS

PRZEMYSKIE

NR 41 (728)

ROK XV

21 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

CENA 5 ZŁ

PL ISSN 0208-6964

Więcej
życzliwości
nie
tylko
w
dniu
ich
święta

Bieżący rok szkolny jest trudny dla młodzieży i nauczycieli. Brakuje podręczników, ołówków, kredek, plasteliny, kredy... Wprowadzono nowe programy nauczania z języka polskiego, historii, wychowania obywatelskiego, lecz nauczyciele nie otrzymali ich do ręki, a mogą je jedynie odpisać u dyrektora. Oprócz zawartych w tych programach haseł, nie ma poza tym nic; brak tekstów źródłowych, lektur, wskazówek metodycznych. Liczy się na pomysłowość, samodzielność i inwencję twórczą nauczycieli.

Do trudności natury dydaktycznej - wychowawczej dochodzą obecne trudności społeczno-bytowe, zaopatrzenia się w żywność, opał, artykuły higieniczne.

Do Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego, napływają petycje, skargi, postulaty od nauczycieli z gmin z prośbą o pomoc, o interwencje. Powtarzają się zdania: „Tłumaczcie komu trzeba, że nauczyciel to człowiek”; „Stanowimy liczną grupę zawodową, która nie opuszcza posterunku pracy - szkoły, by stanąć w kolejkę. My i nasze rodziny musimy coś jeść, kolekcję kartek, którą nosimy przy sobie, nie nasyćmy się”; „Dostawy do sklepów GS odbywają się w godzinach dopołudniowych, kiedy my uczymy. Gdy kończymy pracę - w sklepach pustki. Nie mamy szans zamienić kartki na żywność, papierosy, środki czystości”; „Zróbcie coś, by nauczyciel mógł skorzystać z pewnych preferencji”.

9 czerwca br. prezydium Zarządu Okręgu ZNP podpisało porozumienie z wojewodą przemyskim regulujące te problemy. Realizacja przyjętych ustaleń przebiega opornie z winy urzędników, którzy w słanych odpowiedziach używają argumentu, że „stwarzanie preferencji w zakupach dla nauczycieli, wzbudziłoby społeczne niezadowolenie”. Czy takie wyjaśnienie nie wzbudza niezadowolenia 4-tysięcznej społeczności, zrzeszonej w ZNP,

(Ciąg dalszy na str. 2)

MÓWIŁO SIĘ: w handlu sentymentów nie ma. Owszem są. To prawda już dawno poznana. Wiedzą o tym Anglicy, Japończycy. Wiedzą również ludzie spod znaku Polskiej Żeglugi Morskiej w Szczecinie. Wiedzą i pamiętają.

Anglicy mieli pieniądze, stocznie, i bezrobocie. PZM nie miała pieniędzy, ale potrzebowała statków. Kontrahenci czule patrząc sobie w oczy rozpoczęli negocjacje. Anglicy są mistrzami w zawieraniu korzystnych dla siebie transakcji. W tych negocjacjach PZM-owcy byli jednak o klasę lepsi. Tak narodził się pierwszy w historii „kontrakt stulecia” na budowę przez brytyjskie stocznie 22 statków dla szczecińskiego armatora, za brytyjskie pieniądze, z eksportem polskich urządzeń okrętowych bez wydatkowania jednej złotówki i jednego dolara z kasy państwowej. Dziś statki te pływają, same się spłacają i dodatkowo zarabiają wcale nie małe sumy we wszystkich walutach wymiennych świata.

Interes jest interesem, choć nie wszyscy potrafią to zrozumieć. Stąd skomplikowanych, nowatorskich rozwiązań finansowo-prawnych brytyjskiego kontraktu długo nie mogli pojąć różni centralni decydenci, których na ogół już nie ma. Przez półtora roku utrudniali jego zawarcie. Ten brak wyobraźni i kompetencji sprawił, że dwa inne zawarte przez PZM kontrakty - z Japonią i Brazylią, na takich samych, idealnych wprost warunkach finansowych - diabli wzięli. Dziś zaś pod banderą PZM pływają kilkadziesiąt innych, nowoczesnych masowców, które stanowiłyby majątek trwały państwa, same by się spłacały i zarabiały tak potrzebne gospodarce dewizy. A że umowy oparte były na nowych,

respektowanych przez najbardziej szanujące się firmy świata zasadach, a nie mieściły się w ramach istniejących wówczas u nas przepi-sów - to już inna sprawa.

NIEMIANE FAKTY Z „ZYCIORYSU” STATKU

Skąd te refleksje? Otóż wzięły się z okazji jubileuszowego, setnego rejsu m/s „Jarosław”, statku, który też tylko dzięki zapobiegliwości i operatywności ludzi z Polskiej Żeglugi Morskiej znalazł się w naszej flocie.

Flota trampowa PZM, aby utrzymać swoją wysoką pozycję na światowych rynkach żeglugowych, aby wygrywać konkurencję z innymi potęgami żeglugowymi świata, musi być ciągle modernizowana. W Stoczni Gdańskiej, w latach 1978-1979, budowano serię statków dla norweskich armatorów. Nie był to zbyt dobry interes, skoro wkrótce Norwegowie zabrakło pieniędzy i nie miał już za co wykupić zakontraktowanych jednostek. Specjaliści z polskiego handlu zagranicznego, w myśl zasady sprzedaży statków koniecznie za dewizy, choćby pół darmo, oferowali je różnym zagranicznym kontrahentom. Kupca nie znaleźli, ale nikt nie pomyślał, aby sprzedać te jednostki krajowemu armatorowi, który - wprowadzając statek do eksploatacji - natychmiast zarabia tak potrzebne nam dewizy, a jednostka szybko się spłaca.

Statki trzymano więc przez pół roku „na uwięzi”, czeka-

jąc na lepsze czasy i wyższe cen światowych. PZM-owcy zaś dowiedzieli się o istnieniu i budowie kolejnych statków tej serii w Stoczni Gdańskiej... w Hamburgu. Rozmowy z krajowymi centralami handlowymi nie przyniosły jednak wiele pożytku. PZM zawiązała więc polsko-norweską spółkę żeglugową, w której Norweg był raczej figurantem i dopiero w ten sposób cztery statki, tej samej serii: m/s „Koronowo”, m/s „Niewiadów”, m/s „Lipsk n/Biebrza” i m/s „Jarosław” - trafiły pod polską banderę. Po niecałych dwóch latach statki same się spłaciły, oddano należności centrali handlowej, spłacono Norwega i w marcu tego roku spółka została rozwiązana, a statki, w tym m/s „Jarosław”, przeszły na własność PZM. Dziś stanowią majątek trwały przedsiębiorstwa, zarabiają dewizy i zarabiają je będą jeszcze przynajmniej 10 lat.

ZNAKOMITY DOWÓDCA, DOBRA ZAŁOGA

M/s „Jarosław” - statek o nośności 2 988 DWT, długości 81,8 m, szerokości 13,6 m, z silnikiem spalinowym o mocy 1 840 KM, rozwijający szybkość 14 węzłów - należy do serii najmniejszych jednostek we flocie szczecińskiego armatora. W swojej jubileuszowej podróży, jednostka pod dowództwem kpt. ż.w. Zbigniewa Fordeya przywozi z fińskiego portu Kotka glinę kaolinową do kraju. Od chwili wejścia do eksploatacji do dziś m/s „Jarosław” przewiózł już prawie 300 tys. ton róż-

nych ładunków masowych. Z Gdańska popłynął ponownie z węglem do Finlandii, skąd zabierze tarcicę do angielskiego portu Shoveham.

W okresie jubileuszowym dowodzi jednostką znakomity kapitan, który w czasie II wojny światowej pływał w alianckich konwojach i chyba jako jeden z nielicznych udekorowany został „Gwiazdą Atlantyku”, najwyższym odznaczeniem bojowym. Kpt. Z. Fordey dba o powierzony mu statek. Stąd „Jarosław” prezentuje się bardzo okazale, jest dobrze utrzymany (choć farbę armator musi kupować za granicą), dobrze zaopatrzony (choć objęte regulaminem produkty też są z tego źródła). M/s „Jarosław” dobrze sprawuje się w swojej morskiej służbie. Nie tylko on. Flota trampowa PZM osiąga tak znakomite wyniki finansowe, że armator - chyba jako jedyne przedsiębiorstwo w kraju - w sierpniu tego roku podniósł poprzeczkę swoich zadań, skorygował plan działalności podstawowej w górę. Skąd to się bierze? Ano stąd, że przedsiębiorstwo, funkcjonując w twardym reżimie światowego rynku żeglugowego, musi dostosować się do istniejących reguł gry. A że radzi sobie z najlepszymi biznesmenami światowymi doskonale, to fakt.

Z okazji jubileuszowego rejsu załoga m/s „Jarosław” przesyła czytelnikom wiele serdecznych pozdrowień.

ANDRZEJ GRZESKOWIAK



M/s „Jarosław”
w
gdańskim
porcie



FOT. Z. KOSYCARZ

JAKI JEST TEN ŁAD, JAKIE POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA?

(notatki z posiedzenia Egzekutywy KW PZPR)

Przytaczam obiegowe opinie: „gdzie trzeba, to ich nie widać”; „czekają się z mętami społecznymi, zamiast dobrać się im do skóry”; „a co to ich obchodzi, niech pilnują swego nosa”; „im to dobrze — jakie zarobki, a jakie udogodnienia?”. Zdaniem jednych milicja jest zbyt tolerancyjna, według drugich — bezwzględna. Są tacy, którzy prowadzą przeciwko niej nagonkę, inni znowu dają posłuch pomówieniom, cieszą się z obraźliwych (wcale nie dowcipnych) plakatów zdobiących mury kamienic.

Tak to jest — z jednej skrajności wpadamy w drugą. Dlaczego? Otóż przez wiele lat milicjant w propagandzie i oficjalnych ocenach nie był zwykłym człowiekiem — jakim jest w rzeczywistości, z wszystkimi ludzkimi zaletami i wadami — ale świętym. Teraz znowu, gdy przysną sztuczny mit, postąpił jakiś funkcjonariusz nie tak jak powinien, to się jego czyn uogólnia i wypycha wszystkich do jednego worka. Na rozsądku i trzeźwości to nam nie zbywa.

Skołowani funkcjonariusze nie wiedzą częstokroć jak postępować. Bywają sytuacje, kiedy służbowy obowiązek i obywatelskie poczucie każą im interweniować, natomiast zimna kalkulacja ostrzega: a co będzie jeśli zamiast poparcia społecznego spotkasz się z wrogością i zostaniesz sam na sam z oprychem? Nie są to wcale akademickie rozważania. Kilka miesięcy temu przemyscy funkcjonariusze musieli zwol-

nić w pociągu aresztowanego włamywacza. Uczynili to pod presją pijanych, młodych podróżnych.

Abyśmy mogli czuć się bezpiecznie musimy współdziałać, tymczasem robimy coś wręcz odwrotnego, dopóki... nas samych nie dotknie nieszczęście. A warto pamiętać, że przestępczość rośnie. W naszym województwie — na szczęście — w mniejszym stopniu niż gdzie indziej. Posłużę się liczbami, które przytoczył na posiedzeniu

Egzekutywy KW PZPR w Przemyślu prokurator wojewódzki ANDRZEJ RUTYNA: w ciągu 9 miesięcy br. zarejestrowano 2 200 przestępstw, to jest o 3,3 proc. więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. W tym samym czasie przestępczość w szwedzkim wzrosła o 93 proc., gdańskim — 63 proc., bielskim — 52 proc.

Nie jest więc u nas najgorzej, ale nie jest dobrze. Co piąte przestępstwo popełnił nieletni (do 17 lat). Niekorzystna jest również to, że walka z ludźmi łamiącymi prawo prowadzą niemal wyłącznie, państwowe organa ścigania. Nastąpił widoczny zanik działania kontroli własnych przedsiębiorstw.

To, że u nas spokojnie, wynika w pewnym stopniu z charakteru województwa, ale nie ładny się — byłoby znacznie gorzej, gdyby nie Milicja Obywatelska, a i tak zdarzają się napady, gwałty i to w miejscach publicznych, jak np. na stacji PKP, w Lubaczowie.

Po kilkumiesięcznym okresie niemocy, milicja ożywiła swoją działalność. W sierpniu, wrześniu i październiku, współpracując z wojskiem i ORMO, przeprowadziła szereg akcji wymierzonych m. in. przeciwko spekulacji (skontrolowano 1 600 placówek handlowych), wzmożeniu kontrole stanu bezpieczeństwa na drogach, który — zdaniem komendanta wojewódzkiego MO płk JÓZEFA KARASIA — znacznie się pogorszył. W trzech kwartałach br. miało miejsce 297 wypadków (mowa o notowanych przez MO), w których poniosło śmierć 27 osób, a ranne zostały 362 osoby.

Wnioskując z przytoczonych liczb, można powiedzieć, że organa odpowiedzialne za ład i porządek działają. Czy w dostatecznym jednak stopniu? Co do tego opinie członków Egzekutywy KW były podzielone. Nie wysuwano wprawdzie zarzutów w sposób bezpośredni, ale sugerowały go niektóre wypowiedzi, jak np.: — Jak długo MO będzie tolerować sytuację panującą w centrum Przemyśla. „Małpi gaj” stał się miejscem zboru pijaków i nie tylko. Wódkę i wino sprzedaje się tu niemal oficjalnie, już nie na butelki, ale na szklanki. W biały dzień uprawia się nierząd.

W teorii to my chcemy, by powrócił ład i porządek do naszych miast, ale w praktyce... Przykładem — zajęcie w Jarosławiu (pisały o nim „Nowiny”). Po stronie chuliganów stanęła znaczna grupa obywa-

teli, na szczęście zdrowy rozsądek zwyciężył. Oby zawsze.

Prawdą jest, że państwo płaci milicji, a społeczeństwo ma prawo wymagać, ale prawdą jest również to, że nie jest to dziś atrakcyjna służba i o nabór do niej coraz trudniej (do pełnego składu etatowego KW MO brakuje 30 ludzi). Milicjant też człowiek, chce czuć się potrzebny, chce być szanowany przez współobywateli, chce, by patrzono na niego i jego rodzinę z życzliwością. Czy tak jest zawsze? Pewien komendant posterunku przeprowadził kontrolę w sklepie i znalazł na zapleczu ukryty towar, sporządził protokół i... dziś jego rodzina ma utrudnione zakupy.

Te i tym podobne refleksje nasunęły mi się, gdy przysłuchiwałem się obradom egzekutywy poświęconej stanowi bezpieczeństwa i ładu w Przemyślu. Dzielę się z nimi z nadzieją, że te, tak ważną dziedzinę naszego życia nie pozostawimy swemu biegowi. Pasywna postawa Milicji Obywatelskiej jest na rękę elementom przestępczym. Nie mniej — szary przynosi im podobne stanowisko obywateli. Czas działać, gdyż w mętnej wodzie naszego obecnego życia społeczno-gospodarczego zbyt wiele namnożyło się przejawów przestępczości i trudno je będzie zwalczyć. Kto by na przykład rok temu przypuszczał, że źródłem spekulacji stanie się... pasta do zębów?

Z. BANDURSKI



JAROSŁAW

„Życie codzienne w Jarosławiu w okresie okupacji hitlerowskiej” — wystawa fotograficzna (Muzeum, kamienica Orsetich w Rynku, godz. 10—14).
Etyudy filmowe studentów PWSF z Łodzi (DKF przy MOK, 23 X, godz. 18).

„Jeszcze jeden słoneczny dzień” — koncert muzyki dawnej w wykonaniu zespołu kameralnego przy Zespole Pieśni i Tańca „Przemysł” (MOK, 24 X, godz. 17).

Krzysztof Cugowski i zespół „Cros” — koncert (MOK, 27 X, godz. 17).

Wystawa członków Klubu Amatora Plastyka, działającego przy WDK w Przemyślu (MOK, 25 X, godz. 14—18).

LUBACZÓW

„Światło” — film prod. francuskiej (DKF przy MOK, sekcja dorosłych, 23 X, godz. 18).

„Biały Bim i Czarne Ucho” — film prod. polskiej (DKF przy MOK, sekcja dziecięca, 24 X, godz. 11).

Dyskoteka dla młodzieży (MOK, 24 i 25 X, godz. 10—22).

Wystawa malarstwa i plastyki Krzysztofa Krzycha (MOK, godz. 14—22).

PRZEMYŚL

„1000-lecie pierwszej wzmianki historycznej o Przemyślu” — posiedzenie naukowe zorganizowane przez Stację Naukową Polskiego Towarzystwa Historycznego i Towarzystwo Przynajmniej Nauk w Przemyślu (sala Stronnictwa Demokratycznego, Rynek 6, I p., 23 X, godz. 10).

„Śmiertelny pościg” — film prod. francuskiej (Zakładowe Centrum Kultury Robotniczej, ul. ZWM, 26 X, godz. 16).

„Stawka większa niż życie” — odcinki pt. „Genialny plan pułkownika Krafta” i „Ostatnia szansa” (kino ODK, Wybrzeże Kościuszkowskie 70, 22 X, godz. 17.30).

„Savoir vivre dla nastolatków” (DKK, 21 X, godz. 12).

Dyskoteka dla młodzieży (DKK, 24 X).

„Helm Aleksandra Macedońskiego” — film prod. radzieckiej (DKK, 26 X, godz. 16.30).

„Przygody Robinsona Kruzoe” — film prod. radzieckiej (DKK, 28 X, godz. 16.30).

„Dni książki naukowo-technicznej” (Wojewódzka Biblioteka Publiczna, godz. 8—20).

„Przemysł w starej pocztówce i fotografii” — wystawa (Muzeum Okręgowe, godz. 10—14).

Koncert kameralny solistów Opery Warszawskiej (KMPIK, 21 X, godz. 18.15).

PRZEWORSK

„Z. najlepszymi życzeniami” — impreza estradowa (MOK, 28 X, godz. 16, 18 i 20).

W DNIU ICH ŚWIĘTA



Fot.: T. Ziembowska

Za wzorową pracę na niwie krzewienia oświaty i wychowania młodego pokolenia ZŁOTE KRZYŻE ZASŁUGI otrzymali: R. Biskup, R. Brzozowska, O. Brzyska, S. Buć, R. Dąbrowska, E. Domka, D. Głowaty, J. Job, J. Jarema, M. Kielar, T. Kopnoka, A. Krudys, M. Mikuliczak, D. Noworol, Z. Osiać, A. Pawłowska, J. Romanik, Z. Stadnik, J. Świszcz, M. Tymczyszyn, A. Wiatr, A. Burak, W. Grońska, M. Herman, M. Hływa, M. Hryńkiw, D. Kozakiewicz, L. Nazar, S. Koperska, W. Petryszak, E. Sielecki, Z. Szware, I. Tłuczek, M. Tuz, S. Ziomek, W. Harlacz, D. Iglanłowicz, L. Weiner, S. Stopyra, A. Świerk, M. Adamowska, M. Wajda. MEDALAMI KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ uhonorowano Józefę Ihowicz i Bronisławę Mazurkiewiczą.

Dekoracja odbyła się w sali Urzędu Miejskiego w Przemyślu w obecności przedstawicieli władz. Dokonał jej — prezydent miasta Zbigniew Chabasiewicz oraz kurator Franciszek Szymański.

KOMUNIKAT

PAŃSTWOWY WOJEWÓDZKI INSPEKTOR SANITARNY w PRZEMYŚLU informuje:

plyn do mycia naczyń kuchennych „MANIA” produkcji Zakładów Chemii Gospodarczej „Pollena-Astra” w Przemyślu należy stosować zgodnie z instrukcją podaną przez producenta — umieszczoną na opakowaniu.

Stosowanie płynu do innych celów, a szczególnie do mycia ciała i włosów, może spowodować poważne skutki zdrowotne. „MANIA” — jako detergent — szczególnie szkodliwie działa na organizm niemowląt i dzieci. Nie należy więc w nim prać odzieży, bielizny i pościeli dziecięcej.

Więcej życzliwości nie tylko w dniu ich święta

i prawie takiej samej liczby członków nauczycielskiej „Solidarności”? Wyjaśnienia nie przekonują nas i dlatego, że szkoła nie jest własnością dyrektora ani kuratora, ale całej wiejskiej społeczności, która winna wykazać większą troskę o nauczyciela.

Zyczeniem nas wszystkich jest, by szkoła coraz lepiej uczyła i wychowywała. Nie może być dobrej szkoły, bez dobrych nauczycieli. Można ich zachęcić do pójścia na wieś, tylko poprzez stworzenie odpowiednich warunków życia. Coraz więcej jest żądań reaktowania 8-klasowych szkół lub o klasach I—III, lecz coraz trudniej w tych miejscowościach znaleźć godziwe mieszkanie dla nauczyciela, mimo iż nie brakuje tam pięknych willi, domków jednorodzinnych z wygodami!

Pod silną presją społeczną otwierane są szkoły, w których uczą „panienki po ogólniaku”. Zatrudniono ich w Przemyślu, tylko w tym roku, ok. 250, bowiem magistro-

wie nie godzą się na spartańskie warunki, szukają też serca i życzliwości. Tak, serca i życzliwości. Tego brakuje nauczycielom.

Dla oświaty i wychowania nigdy nie starczyło mocy przerobowych, wykonawców, materiałów budowlanych, środków finansowych, wyobraźni... I tak w ciągu 6 lat istnienia województwa doszliśmy do sytuacji, że potrzeba było zamknąć dwie szkoły, a kilka następnych grozi bezpieczeństwu młodzieży. Nikt się tym nie martwił. Niech o to boli głowa kuratora!

Karta Nauczyciela gwarantuje wszystkim pedagogom pracującym na wsi 0,25 ha ziemi. Jesteśmy województwem rolniczym, ziemi nie brakuje, ale naczelnicy gmin mają trudności w znalezieniu działki dla nauczyciela. Brakuje mieszkań, ale w budynkach szkolnych i domach nauczyciela mieszkają ludzie spoza oświaty, których nie sposób dziś wywaterować.

Nauczyciele wzięli na swoje barki obowiązki innych. Mari-

wią się więc o zaopatrzenie przyszłokolejnej świetlicy, sprzedają dojeżdżającym bilety na PKS, wyręczają księgarń w sprzedaży podręczników, organizują zbiórki złomu i makulatury, zbierają składki na PZU itd. Rodzice przychodzą do szkoły nie po to, by się dowiedzieć, jak uczą się ich dzieci, lecz po to, by się wyklócić dlaczego ich pociechom nie zapewnił miejsca w stołówce, lekcji na pierwszej zmianie, biletu na PKS na dogodną godzinę. Szkoła stała się instytucją usługowo-handlowo-gastronomiczną, schodzącą z roli placówki dydaktyczno-wychowawczej.

Dokąd zatem zmierzamy? Jeśli mieszkańców wsi nie stać na utrzymanie 4 czy 5 nauczycieli, na zapewnienie zakupu poza kolejnością, odpowiedniego mieszkania — czy potrzeba tam utrzymywać szkołę?

Zarząd Okręgu ZNP wierzy, że wreszcie nauczyciele spotkają się ze zrozumieniem ze strony władz wojewódzkich

i terenowych. Jeśli nie, zamieni będą się do formy protestu zapisanych w statucie związku. Nie chcą przywilejów, chcą zapewnienia warunków do pracy. Mówią: „Możemy stać od rana w kolejce, a rozpoczynać lekcje w godzinach popołudniowych, po dokonaniu zakupów. Możemy odmówić wykonania wszelkich prac, nie związanych z wychowaniem i nauczaniem. Możemy skorzystać z wielu innych form protestu, do strajku włącznie. Chcemy jednak spokoju. Chcemy budować, a nie burzyć. Szkoła nie lubi rewolucyjnych zmian”.

To prawda, że nie we wszystkich gminach czy miastach jest źle. Warto upowszechnić dobre doświadczenia. Liczę, że z gmin napłyną listy, ukazujące co się obecnie czyni dla poprawy warunków socjalno-bytowych nauczycieli, że znajdują się w nich sugestie, co należy robić, by było lepiej. Nie ma sytuacji bez wyjścia.

ADAM LAZAR
wiceprzewodniczący ZO ZNP

Tłok na kursach języków obcych



Czemu to przypisać — trudno powiedzieć, ale faktem pozostaje ogromne zainteresowanie przemyslan nauką języków obcych, zwłaszcza zachodnich. Klub MPiK nie mógł pomieścić słuchaczy, którzy przybyli na inaugurację nowego roku nauczania.

Na niemiecki, angielski i francuski zapisało się około 200 osób. Klub postarał się o podręczniki i książki pomocnicze. Zajęcia będą prowadzone — dzięki życzliwości dyrekcji i związków zawodowych — w klubie zakładowym „Sanwiliu”.

W sali KMPiK w czasie inauguracji nowego roku nauki języków obcych.

Fot. T. Ziembowska



W 1983 ROKU powinien być uruchomiony Zakład Uzdantniania Wody w Przemyslu. Powinien, ale nie będzie, gdyż wykonawca zrealizował zaledwie 15 proc. zakresu robót. Rzeszowska „Inżynieria” kiepsko spisuje się również na budowie oczyszczalni ścieków w Jarosławiu (31,6 proc.) i oczyszczalni ścieków w Przeworsku (10,1 proc.).

Z OKAZJI DNIA ZNACZKA (9 X), będącego świętem filatelistów, Ministerstwo Łączności przyznało złotą odznakę „Zasłużony pracownik łączności” Emilowi Szalajowi z Jarosławia, zaś srebrną — Bolesławowi Bobuli z Przemysła. Gratulujemy!

„Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI DLA WETERANÓW PRACY” — taki tytuł nosi cykl imprez, organizowanych przez Zarząd Wojewódzki Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Koncerty z udziałem artystów scenicznych i warszawskich trwał będą w Przemysku do połowy listopada br. Pochodzący z nich dochód przeznaczony jest na pomoc zimową dla samotnych seniorów i rodzin wielodzietnych.

STARE PORTRETY FOTOGRAFICZNE oglądać można w witrynie lokalu Towarzystwa Przyjaciół Przemysła i Regionu przy ul. Tysiąclecia 1. Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Jacka Szwica.

REGLEMENTACJA PIELUSZEK (20 sztuk na rok dla niemowlaka) miała obowiązywać od 1 bm. Przemyskie WPHW wytypowało w województwie 7 placówek do sprzedaży tychże. Jednak jak zaczęto liczyć — okazało się, że pieluch nie wystarczy, wobec czego wycofano się z reglementacji. Na jak długo — nie wiadomo.

DECYZJA WOJEWODY PRZEMYSKIEGO rozwiązano Lubaczowski Kombinat Rolny, a w jego miejsce powstało 5 samodzielnych PGR — w Cieszanowie, Narolu, Horyńcu, Oleszycach i Lubaczowie, co stanowi ważny krok w kierunku tworzenia samofinansujących się, rentownych przedsiębiorstw rolnych.

RADA KÓŁ GOSPODYN WIEJSKICH WZKIOB wystosowała apel do załóg kopalni węgla kamiennego. W apelu stwierdzono m. in., że kobiety zrzeszone w tej organizacji dołożą wszelkich starań, by zwiększyć produkcję rolą, od górników zaś oczekują zwiększenia wydobycia węgla, którego tak bardzo brakuje rolnictwu.

SZKOLNE FILMOTEKI powstaną w bieżącym roku oświatowym w kilkunastu szkołach naszego województwa. Ich zadaniem jest gromadzenie materiałów filmowych i taśm z nagraniami przydatnymi na lekcjach z poszczególnych przedmiotów. W ten sposób aparatura i sprzęt audiowizualny, będące w posiadaniu szkół, byłyby wreszcie należycie wykorzystane.

I słowo, i czyn

Trudno przytaczać wszystkie uchwały i rezolucje, które w ostatnim czasie wpływają do redakcji. Na ogół dotyczą one stosunku określonych grup ludzi do zjawisk zachodzących w naszym kraju, najczęściej politycznych i spraw gospodarczych (np. podwyżek). Wytłumacza się z tego schematu treść uchwały zakłogi „Jarlanu”. Nie ma w niej nic o polityce, ani słowa o kryzysie bądź reformie gospodarczej, a mimo to znaczy więcej niż składnie dobrane słowa.

Zakłoga „Jarlanu”, mając na uwadze trudności lokalowe Jarosławskiej służby zdrowia, postanowiła przekazać jej w użytkowanie budynki przy ul. Kraszewskiego 19 i 19a, w których dotychczas mieścił się zakładowy klub „Art”, a także miała swą siedzibę MKZ „Solidarność”.

Nie znaczy to oczywiście, że w „Jarlanie” nie chcą słyszeć o kulturze. Po prostu uznano, że tę funkcję może z powodzeniem prowadzić Miejski Dom Kultury, wspierany finansowo przez zakład. W ten sposób postanowiono pogodzić potrzeby ducha z troską o stan zdrowia pracowników.

— Zaproszona mnie na zebranie — mówi dyrektor ZOZ lek. GENOWEFA CZYREK — i powiadomiono o tej decyzji. Nie mam słów uznania dla „Jarlanu” i to nie tylko z powodu przekazania nam tych bardzo potrzebnych budynków, ale również z innych przyczyn, a m. in. stworzenia przed kilku laty wzorowego oddziału pracy chronionej. Żeby być jednak w pełni sprawiedliwą, muszę dodać, że w Jarosławiu jest więcej zakładów, które zdrowiu załóg poświęcają wiele uwagi. Należą do nich Huta, Zakłady Mięsne, Zakłady Przemysłu Cukierniczego „San”, Przemyski Kombinat Budowlany (ten ostatni jest wykonawcą naszych inwestycji, aktualnie stawia oddział obserwacyjno-zakaźny). Dzięki takim postawom powiększa się systematycznie nasza baza lokalowa. Moglibyśmy z większą ufnością patrzeć w przyszłość, gdyby następowała podobna poprawa w sytuacji kadrowej, tymczasem w kraju na 10 000 mieszkańców przypada średnio 18,8 lekarza, w Jarosławiu tylko 7,3. Nie tu jednak nie zrobimy bez mieszkań. Takie są realia życia.

ZZ

Po sejmiku TWP

Ostatnio obradował **Wojewódzki Zjazd Towarzystwa Wiedzy Powszechnej**. W tym prawdziwym roboczym sejmiku przemyskich działaczy i propagatorów kultury i oświaty udział wzięli ponadto: kierownik wydziału ideologicznego KW PZPR BOLESŁAW ZÖLLNER i sekretarz Zarządu Głównego TWP JAN DRAŻEK.

Miłym akcentem, na wstępie obrad, było wręczenie odznak przyznanych przez Zarząd Główny i Wojewódzki TWP Złote odznaki honorowe „Zasłużony popularyzator wiedzy TWP” otrzymali: KAZIMIERZ DOŁĘGA z Jarosławia i ANDRZEJ KOPERSKI z Przemysła. Kilku osobom wręczono odznaki srebrne oraz pamiątkowe medale w XXX rocznicę powstania TWP.

Zasadniczym celem towarzystwa (liczy ono w Przemysku 520 członków) jest upowszechnianie wśród najszerszych rzesz społeczeństwa osiągnięć nauki, techniki i sztuki oraz krzewienia wiedzy w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. W latach 1977—1981 lektorzy TWP wygłosili 5 227 odczytów, w tym 2 503 dla ludności wiejskiej. Pod szyldem TWP prowadzone są ponadto różnego rodzaju kursy, m. in.: racjonalnego żywienia, kroju i szycia, hafciarstwa, a także przygotowawcze do egzaminów eksternistycznych z zakresu szkoły średniej. Na te ostatnie uczęszcza średnio w roku 280 słuchaczy.

Ciekawą formą pracy są młodzieżowe punkty dyskusyjne „Młode pokolenie Polskiej Ludowej” oraz studia oświatowe i uniwersytety powszechne.

W przyjętym przez zjazd nowym programie działania szczególną uwagę zwrócono na pracę odczytowo-lektorską w środowisku wiejskim, a także w zakładach pracy. Zapotrzebowanie bowiem na wiedzę ekonomiczną i w ogóle fachową jest w społeczeństwie bardzo duże.

Zjazd wybrał 17-osobowy Zarząd Wojewódzki TWP, który obowiązki prezesa powierzył ANTONIEMU KUNYSZOWI. Jego zastępcami zostali — CZESŁAW JAKUBEK i STANISŁAW MALISZ. Funkcję sekretarza ZW pełnić będzie nadal EDWARD SZELIGA. Wybrano też komisję rewizyjną i sąd koleżeńcki. Na krajowym zjeździe TWP województwo przemyskie reprezentować będą — dr JÓZEF GALANT i mł. ANTONI KUNYSZ.

(bro-sza)

Czytelnicze forum

— Kiedy będzie gotowy most na Sanie w Przemysku?

Odpowiada dyrektor Oddziału Gospodarki Komunalnej w Przemysku ANDRZEJ SKAWIŃSKI:

— Jesteśmy wprowadzić generalnym wykonawcą, ale przedsiębiorstwo, którym kieruję, nie jest odpowiednio przygotowane do budowy mostów. Ponadto brakuje nam materiałów, głównie cementu, dlatego robota trochę kuleje. W tym roku chcemy wykonać adaptację przyczółków i filarów. Gdybyśmy ewentualnie

nie zdążyli uporać się z tymi pracami przed nastaniem zimy — skończymy je wiosną. Również po spłynięciu lodów przystąpimy do budowy rusztowania roboczego, służącego do ustawienia konstrukcji nośnej mostu. Jej wykonawcą, a następnie montażystą, będzie „Mostostal” M-16 ze Stalowej Woli. O ile nie szczególne nam nie przeszkodzi — do końca przyszłego roku most powinien być gotowy. Wiosną 1983 r. trzeba będzie jeszcze zrobić chodniki oraz nawierzchnię jezdną na moście i wiodących doń ulicach. Zatem ostateczny termin włączenia do ruchu drugiego mostu na Sanie w Przemysku można określić na połowę 1983 r.

woj.

Na jesienne pastwisko



Mimo iż pasz tego roku pod dostatkiem, dopóki pogoda pozwala, wykorzystuje się maksymalnie użytki zielone, wyganiając bydło na pastwiska.

Fot. T. ZIEMBOLEWSKA

18 października pracownicy poczty i telekomunikacji obchodzili swoje święto. Im właśnie poświęcamy tę kolumnę. Czytelnicy znajdą tu również trochę historii...

GARŚĆ INFORMACJI O POCZCIE

Z instytucją tą ludzie mają kontakt codziennie. Dlatego jej mankamenty ujawniane są tak często.

Czy naprawdę jednak poczta zasługuje na ciągłą krytykę? Jest przecież „żywym organizmem”, który cechuje systematyczny rozwój. Wykonuje kilkadziesiąt usług w obrocie krajowym i zagranicznym. Przez nią przepływa znakomita większość dokumentów państwowych, pism urzędowych, zarządzeń, poleceń itp. Przez okienka pocztowe przechodzi trzy czwarte obrotu gotówkowego między obywatelem a państwem. Trzeba sobie po-

radzić z ręcznym przeliczaniem lawiny metalu i papieru, z ewidencjonowaniem, podliczaniem, uzgodnieniem i rozliczeniem z kontrahentami ogromną ilość wpłat, wypłat i opłat...

Na jeden urząd pocztowy w naszym województwie (a jest ich łącznie 98), w miastach przypada po 5 tys. mieszkańców, a na wsi po 3 tys. W samym Przemyślu, gdzie funkcjonuje pięć urzędów pocztowych, na każdy z nich przypada po 12 tys. mieszkańców, a na jedno okienko — ok. 3 tys. mieszkańców do obsługi; jest to znacznie więcej niż wynosi średnia krajowa. Zachodzi

potrzeba uruchomienia urzędu pocztowo-telekomunikacyjnego na osiedlu Kazanów...

Mieszkańcy naszego województwa nadali w roku ubiegłym blisko 17 mln listów zwykłych i ponad 1 mln listów poleconych. Na wsi znacznie wzrosły wypłaty rent i należności za mleko, a wszystko to muszą roznieść i wypłacić doręczyciele...

Jakkolwiek poczta nie należy do uprzywilejowanych jednostek gospodarczych — stara się, w niełatwych zresztą warunkach, wywiązać z nałożonych na nią zadań. Wojewódz-

ki Urząd Poczty organizuje w tym celu konkursy mierzące do podniesienia jakości pracy. I tak w konkursie na najlepszego w zawodzie doręczyciela miejskiego I miejscę zajął Mieczysław Solomeczak z WUP, II — Leszek Solomeczak, III — Mieczysław Czupernaty z Jarosławia. Natomiast w grupie doręczycieli wiejskich zwyciężył Jan Dymnicki z Przeworska, II miejscę zajęła Joanna Bieniasz z Jarosławia, a III — Eugeniusz Kościelny z Kańczugi. W konkursie o tytuł najlepszego pracownika kasowego na I miejscę sklasyfikowano Bronisławę Firlejczyk z Radymna, na II — Felicję Banas z Dynowa, a na III — Krystynę Pych z Jarosławia...

Zachodzi potrzeba wykształcenia młodej kadry pracowników pocztowych. WUP wystąpił w związku z tym do Kuratorium Oświaty i Wychowania o reaktywowanie w Przemyślu 4-letniego liceum eko-

nomicznego o specjalności eksploatacja pocztowo-telekomunikacyjna.

Warto zaznaczyć, że w celu usprawnienia działalności pocztowej — oprócz wymiany z ZSRR — od 1 października UPT Przemyśl 1, dokonuje wymiany w obrocie listowym i pocztowym z Bułgarią oraz z Rumunią. Doszły więc dodatkowe czynności, które muszą wykonać pracownicy ekspedycji, rozdzielni i oddziału pocztowo-celnego.

Na poczcie nie mają miejsca kwartalne zrywy produkcyjne — tu pracuje się ciężko, przez cały rok, bo każdy przestój powoduje rosnące kolejki przy okienkach i spiętrzenie przesyłek w rozdzielniach. Dlatego też pocztowcy mają za mało czasu, by składać deklaracje na temat jak to starac się będą lepiej pracować. Być może, iż właśnie z uwagi na tę powściągliwość, tak mało wiedzą ludzie o poczcie i tak łatwo ją krytykują.

J.K.



Przed rokiem radość z powiększenia miejskiej centrali telefonicznej przeżywali jarosławianie, od 25 września br. mają się z czego cieszyć mieszkańcy Przeworska, którzy otrzymali już część z 800 nowych numerów. Pierwsi szczęśliwcy z liczącej niespełna 300 nazwisk listy, korzystają już z własnego telefonu. Pozostali, w tym i ci, którzy zgłoszą się teraz (bo jest 500-numerowa rezerwa) — muszą poczekać na rozbudowę sieci kablowej, która już się zacięła, ale zasadniczą część prac — to sprawa przyszłości. W każdym razie telefoniczny „głód” zostanie w Przeworsku, w niedługim czasie, w pełni zaspokojony i to na kilka najbliższych lat.

Słabsze, niż się spodziewano tempo rozbudowy sieci opóźnia postęp przy zagospodarowywaniu rezerw na centrali jarosławskiej. W ciągu 9 miesięcy br. monterzy z miejscowego Urzędu Telekomunikacyjnego zainstalowali 431 nowych numerów (na plan roczny — 500 przyłączeń). Uwzględniając efekty ubiegłoroczne, do pełnego wykorzystania mocy urządzeń centrali pozostanie w roku przyszłym ok. 350 instalacji. Nie rozpoczęto, niestety, jeszcze robót w kierunku Pruchnika, co może wydłużyć okres oczekiwania abonentom z tamtego rejonu.

Przemysłanie nie mają powodów do radości, bo ich sytuacja jest najtrudniejsza, i — co gorsza — nie ma większych perspektyw na radykalną zmianę. W pierwszym kwartale 1982 roku powinna ruszyć 180-numerowa centrala na osiedlu Kazanów. Łącznościowcy już pracują, lecz

siek w tym, że gotowe urządzenia mogą beczynnynie czekać na swych klientów ze względu na to, że opóźnia się... wydanie zezwolenia na rozpoczęcie budowy sieci kablowej przy ul. Opalińskiego. Przed kilkoma tygodniami wystosowano prośbę do władz grodu, że przesłały ją dalej i... cisza.

W województwie czeka na własny telefon 5 tysięcy osób i wciąż napływają nowe podania. A tymczasem — oprócz wspomnianych przedsięwzięć — w roku 1983 planuje się tylko rozpocząć rozbudowę centrali w Lubaczowie.

Poważnym utrudnieniem w rozwoju naszej telekomunikacji jest kulejące tempo rozbudowy sieci, niezbędnej do realizacji nowych przyłączeń. Brakuje energicznych wykonawców. Specjalistyczna firma z Krakowa, również na skutek braku ludzi, nie ma zbyt dużych możliwości, a nasi łącznościowcy — nie przygotowani do tego typu robót — też niewiele działają. W wielu województwach (np. w krośnieńskim), pomocną dłoń wyciąga w tym kierunku spółdzielczość mieszkaniowa, przygotowująca niezbędne instalacje kablowe. U nas, niestety, ten dobry zwyczaj jeszcze się nie przyjął. A szkoda...

Po ZAMACHU MAJOWYM przy ministrze spraw wojskowych powstał Państwowy Urząd Przynależności Wojskowej i Wychowania Fizycznego. W szeregu resortach zaczęto organizować społeczne ogniska PWiWF. Również łączność nie pozostała na uboczu...

W okręgu lwowskim pocztowe PWiWF utworzono 8 grudnia 1930 r. Działały w nim wyspecjalizowane drużyny, których zadaniem było zapewnienie sprawnie funkcjonującej łączności cywilnej na wypadek wojny oraz współdziałanie w tym zakresie z wojskiem. Obok specjalności obronnych rozwijano szeroko pracę sportową, kulturalną, organizowano liczne zawody i pokazy.

Działające w resorcie łączności związki zawodowe poparły idee PWiWF, nawołując swych członków do czynnego udziału w pracach tej organizacji.

Z początkiem roku 1931 w Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym Przemysł 1 przystąpiono do zawiązania Pocztowego i Wychowania Fizycznego. Akcją ta znalazła wśród personelu, który liczył wówczas 217 pracowników, wielkie zrozumienie. Świadczyć o tym może m. in. to, że w maju tego samego roku nastąpiło otwarcie świetlicy dla członków organizacji, przez prezesa Dyrekcji Poczty i Telegrafów we Lwowie Dominika Moszoro. Urząd posiadał już wówczas oddział ćwiczebny w składzie 25 ludzi, zespół smyczkowy, który prowadził kontroler Chulawski oraz chór męski z dyrygentem Leńkowskim. Tak chór, jak i zespół — koncertowały w czasie otwarcia świetlicy.

Z biegiem czasu, dzięki inicjatywie i poparciu naczelnika urzędu Isakiewicza, zarazem prezesa oddziału PWiWF w Przemyślu, powstały sekcje: strzelecka, piłki nożnej i gołębi pocztowych.

W początkowym okresie sekcja strzelecka rozporządzała tylko

Kartka z historii

ORGANIZACJA I DZIAŁALNOŚĆ KOŁA PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO PRZY URZĘDZIE POCZTOWO-TELEKOMUNIKACYJNYM PRZEMYSŁ 1

dwoma własnymi wiatrówkami. Prócz tego pocztowcy ćwiczyli na strzelnicy wojskowej, uzyskując odznaki II i III klasy.

Sekcja piłki nożnej — zarejestrowana pod nazwą: Klub Sportowy „Pocztą” — po jednorazowych rozgrywkach zdobyła mistrzostwo Przemysła.

W sezonie letnim pracownicy pocztowi intensywnie uprawiali też wioślarstwo (klub dysponował 12 łodziami z odpowiednim wyposażeniem).

Stacja gołębi pocztowych posiadała przeszło 40 gołębi...

Pocztowcy, posiadając własną świetlicę ze sceną, wystawiali amatorskie przedstawienia, na które z przyjemnością uczęszczał cały personel z rodzinami. Sprzęt — pianino i szereg innych instrumentów oraz gramofon — pochodził z darów, względnie zakupiony był ze składek (ofiaryodawcy zastrzeżli sobie jedynie, by te przedmioty stale znajdowały się w budynku przemyskiej poczty).

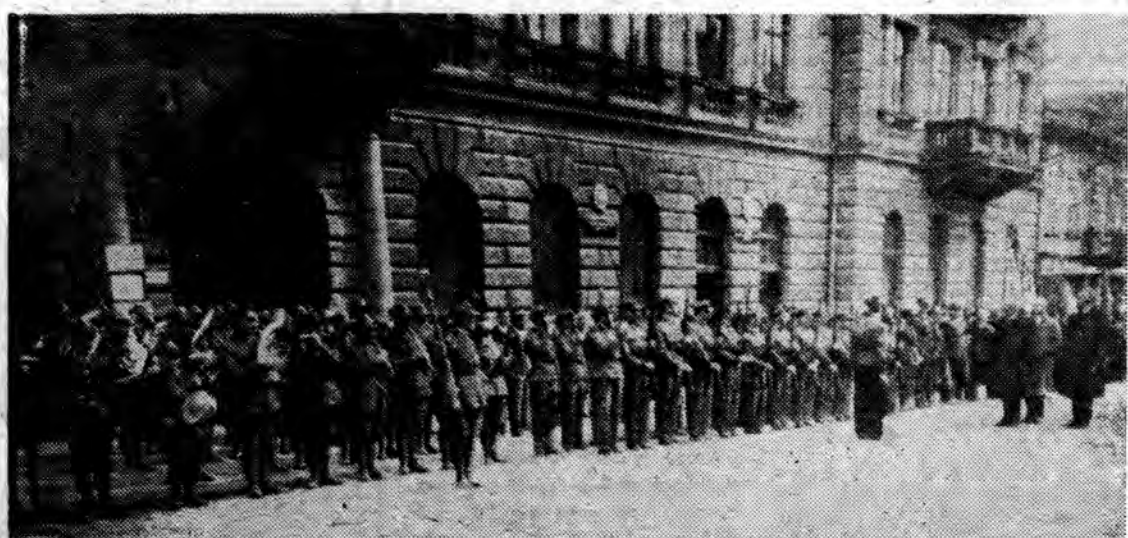
Na apel naczelnika urzędu powstała również biblioteka (on sam przekazał do niej pewną liczbę książek). W krótkim czasie zebrano około 200 woluminów. W efekcie biblioteka pocztowców, która była uzupełniana z funduszy uzyskiwanych z miesięcznych składek, liczyła pra-

wie 1000 książek. Korzystało z niej około 100 czytelników.

W 15-lecie odzyskania niepodległości oddział pocztowy PWiWF składał się z 35 członków. Komendantem był Edward Wasiewicz (w okresie powojennym kontroler OUPU). Wykłady i ćwiczenia w terenie odbywały się pod kierownictwem oficera 38 pułku piechoty oraz przydzielonych oficerów łączności.

Przynależność do oddziału była uciążliwa — oprócz wyczerpujących ćwiczeń i opłacania składek, członkowie organizacji zobowiązani byli do zakupu mundurów i broni strzeleckiej. Pomimo tego, najstarsi pracownicy pocztowi, obecnie już zasłużeni emeryci, okres ten wspominają z sympatią, a Michał Martyniak, który w resorcie łączności pracował ponad 40 lat, relacjonuje: „... W czasie obchodów 3 Maja pocztowcy defilowali przed trybuną jako kompania honorowa 40 ludzi z karabinami na ramionach, trzymając kolbę przy pasie, eswrkami, równy krok! Przed trybuną — przybij butem, równy krok, na prawo patrz! Komendant Wasiewicz, szablą oficerską, na baczność, prezentował przed trybuną. Zgromadzona ludność była brawa, wanosząc okrzyki „Niech żyje Pocztą”...

JERZY KOŁODZIEJ



Oddział Przynależności Wojskowej, działający cępo przy Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym Przemysł 1, prezentuje broń przed wizytującym go prezesem DPiU we Lwowie, Dominikiem Moszoro. Raport składa komendant oddziału Edward Wasiewicz. Uroczystość miała miejsce w 1938 r. przed ówczesną siedzibą przemyskiej poczty.

TRUDNY ROK TRZYDZIESTY PIERWSZY

W marcu 1951 r., na terenie spalonej szkoły w Bobrowce, rozpoczął działalność PAŃSTWOWY OSRODEK MASZYNOWY. Grupa 30 pionierów z zapałem i energią przystąpiła do swych niełatwych w tamtych czasach obowiązków. Stworzono prowizoryczne warunki do pracy i życia załogi. Ukierunkowane na likwidowanie odlogów oraz usługi traktorowo - maszynowe pomowskie grupy od wczesnej wiosny do późnej jesieni nie zjeżdżały z pól. Zimą remontowano sprzęt.

Po 1956 roku zmieniło się również w POM-ie. Przede wszystkim przyjęto inny profil działalności: wzięto się za usługi remontowo - warsztatowe oraz naprawy gwarancyjne rolniczego sprzętu. Sukcesywnie rozrastała się baza techniczna. Dzięki grupie elektryfikacyjnej z Bobrowki —

Cieplicach, Łazach, Koniaczowie i kilku innych wsiach zabiły żarówki. Ostatnia dekada lat siedemdziesiątych, to ciągłe rozbudowy i modernizacje obiektów produkcyjnych, socjalnych i biurowych, a także kolejna specjalizacja — remonty bizonów. Licząca 180 osób załoga otrzymała 30 mieszkań — 14 zbudowanych siłami własnej ekipy i 16 z tytułu pomocy w wykańczaniu spółdzielczego bloku w Jarosławiu.

Dzisiaj POM Bobrowka jest rozwijającym się przedsiębiorstwem usługowo - produkcyjnym (tegoroczny plan opiewa na 112 mln zł). Poza działalnością specjalizacyjną dużo do powiedzenia ma grupa instalacyjno-montażowa, zajmująca się montażem silosów zbożowych, chłodni i dożarek oraz konserwacją i obsługą gwarancyjną tych urządzeń. „Agro-

ma” otrzymuje stąd kilka tysięcy burt do przyczep ciągnikowych, WSK Mielec — wózki do rolniczych „Antków”, „Ponar-Remo” ze Wschowej — koła do wózków widłowych, a Fabryka Maszyn Zrniwych w Płocku — tuleje z pcw. Liczącą się w bilansie przedsiębiorstwa pozycję zajmuje sprzedaż olejów napędowych dla przedsiębiorstw rolniczych z gmin — Jarosław i Sieniewa.

Profil produkcji poszerzył się w br. w POM-ie o sadzarki ciągnikowe do ziemniaków wczesnych i przyczepy 2-osiołowe do przewozu żywa. Towar chodliwy i bardzo poszukiwany, ale rozmiary oferty ogranicza dotkliwy niedobór detek i opon. Nowe uruchomienia nie są wyłącznie aktem dobrej woli, lecz koniecznością. Załoga i załoga zapewni pracę i godziwe zarobki, nikt nie chce myśleć o redukcjach. Z tą motywacją intensywnie szuka się ciągle nowej roboty. Tym bardziej że już od 1 października przedsiębiorstwo pracuje wg zasad tak długo oczekiwanej reformy gospodarczej — rządowa „stowunastka” dotarła i do Bobrowki.

Start do reformy nie jest łatwy. Słabe były pierwsze dwa kwartały w realizacji zadań, bo dały się we znaki kłopoty zaopatrzeniowe i... wolne soboty, których dyrektynie jeszcze przez zjednoczenie ustalony plan na br. nie uwzględnił. Czy do końca roku można zniwelować prawie że pewną stratę? Mówi dyrektor EDWARD INGLOT (od początku w zakładzie, od 1961 r. na stanowisku).

— L ludzi jestem pewien, tylko nie wiem co z zaopatrzeniem. Jeszcze, dzięki „układom”, coś zdobywamy, tylko co dalej? Szukamy pełnego obciążenia dla działu produkcji, jesteśmy zainteresowani wszystkim, co opłacalne i możliwe do wykonania w naszych warunkach. Grupa instalacyjno-montażowa będzie miała co robić, remontowo - budowlana i warsztaty — też. Tym bardziej że do końca br. zakończymy prawdopodobnie rozbudowę hali napraw kombajnów — otrzyma ona z prawdziwego zdarzenia ciąg diagnostyczny. Dzięki temu nasze moce podskoczą z 80 do 150 kombajnów rocznie... Nie czekamy z naprawami do wiosny. Prowadzi się weryfikację sprzętu po akcji zniwnej — jeden kombajn już naprawiliśmy, cztery są w remoncie.

Dział w zakładzie zespół do spraw reformy gospodarczej, za akcję „uświadamiającą” wśród załogi biorą się związkowcy (przewagę ma „Solidarność”, skupiająca trzy czwarte załogi). Jak zgodnie oświadcza przewodniczący obu związków: CECYLIA SEREDA z „branzówki” i MARIAN BAWOŁ z „Solidarności” — nie ma odczuwalnej „konkurencji”, jest całkiem niezłe układająca się współpraca, do której włącza się organizacja partyjna kierowana przez WŁADYSŁAWA GDAŃSKIEGO (25 lat pracy w POM-ie). Współpraca ma in. w akcji „Witamina”, organizacji wycieczek i tworzeniu własnego kiosku, który ma być również środkiem do wzmocnienia dyscypliny - pracy i z pewnością położy kres niesnaskom z mieszkańcami wsi (do tej pory dzielono się zakupami we wspólnym sklepie). Trochę niepotrzebny ferment zrobiła jubileuszowa akademia, a ściślej — nagrody dla najstarszych stażem pracowników, które otrzymali (dzięki pomocy swej centrali) tylko branzowcy. Pozostali będą musieli poczekać do listopada, na rocznicę założenia zakładowej „Solidarności”...

Trzydziesty pierwszy rok w historii POM Bobrowka jest trudnym okresem, jak zresztą dla każdego z nas. Żyjemy wszyscy nadzieją, że przyszłość, z kompleksową reformą naszej gospodarki w roli głównej, będzie pomyślniejsza.

CENNY ZABIEG — WAPNOWANIE

Z analiz prowadzonych przez Okręgową Stację Chemiczno-Rolniczą w Rzeszowie wynika, że większość gleb w województwie przemyskim wymaga odkwaszenia. Co roku należałoby wysiewać około 80 tys. ton wapna, tymczasem zużywa się ledwie 30—40 tys. ton. Pomimo sprzyjających warunków pogodowych założenia na rok bieżący, przyjęte w tym zakresie przez służbę rolną, zostały wykonane w 55 procentach. Do szczególnie słabo realizujących wapnowanie należą gminy: Chłopic, Horyniec, Kańczuga, Pawłosiów, Radymno, Stary Dzików, Medyka, Stubno, Wielkie Oczy, Krzywca i Żurawica.

Wapna nawozowego nie brakuje. Z początkiem br. w magazynach GS znajdowało się jeszcze ok. 7 200 ton. Ponadto w gestii WZKiOR jest 23 tys. ton wapna defekacyjnego, które jest udostępniane rolnikom bezpłatnie. Wapno defekacyjne, produkt uboczny powstający przy przerobieniu buraków cukrowych zawiera — oprócz wapnia — także tlenek magnezu, azot, fosfor i potas. Szczególnie zalecane jest do stosowania na glebach cięższych.

— Wprawdzie — jak nas informuje mgr inż. KAZIMIERZ FURMAN z Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Korytnikach — optymalny termin wapnowania już minął, lecz można jeszcze wysiać wapno pod orkę zimową, a nawet dokonać tego zabiegu zimą lub przed wykonaniem orki wiosennej. Wapnowanie łąk i pastwisk najlepiej przeprowadzić jesienią po zakończeniu wypasów.

PSZCZOŁOM NA POMOC

W Przemyskiem szereg pszczeli pasiek zarazonych jest zgnilem złośliwym. Jak go unicestwić? Jedni twierdzą, że leczenie polisulfamidami jest skuteczne, inni zalecają wypalenie wnętrza ula, a są i tacy, którzy jedynie wyście widzą w spalaniu pszczoły, czyli ula wraz z rodziną pszczoła Wojewódzki lekarz weterynarii wystosował wprawdzie pismo do naczelników gmin, by ci polecieli pracownikom służby rolnej skontaktować się z miejscowymi lek. wet. i wspólnie, przy pomocy — oczywiście — właścicieli pasiek, wypowiedzieli zgnilcowi zdecydowaną walkę, ale praktycznie na tym się skończyło. O chorobie tej dużo mówi się już od wielu lat, nie ma natomiast wspólnego, zdecydowanego frontu w jej zwalczaniu. Terenowe służby weterynaryjne nie mają uprawnień, by niszczyć stare, zarazone ule, mogą tylko bo zlecić gospodarzowi.

W czasie spotkania prezesów kół, zrzeszonych w Wojewódzkim Związku Pszczelarskim, dyskutanci krytykowali postępowanie tych spośród swoich kolegów, którzy lekceważą problem chorej pszczoły. Podejrzewano ich o złośliwość. — Nie likwidują zarazonych uli — mówiono — po to, by choroba się rozprzestrzeniła na sąsiednie pasieki. Toteż opornych pszczelarzy należy bezwzględnie karać, skoro jakiegokolwiek perswazje nie odnoszą pożądanego skutku!

Wiele kontrowersji wzbudziła decyzja władz centralnych, upoważniająca do zakupu cukru na zimowe podkarmianie wyłącznie tych pszczelarzy, którzy odstawią miód do uświadczonych punktów skupu (za 1 kg miodu — 2 kg cukru). Byłoby to sprawiedliwe wówczas, gdyby faktycznie wszystkim dopisały zbiory. Raz jeszcze okazało się, że nie straciło na aktualności przysłowie: „Za pszczoły kupisz woli i na pszczoły sprzedasz woli”. Mimo że tegoroczna aura dopisała pszczołom, to jednak były okregi, bazujące głównie na spadzi, bardzo jakowe, gdzie miodu prawie nie zebrano. Ci co sprzedają, odstawiają z reguły zafalowany produkt, tylko po to, by otrzymać cukier.

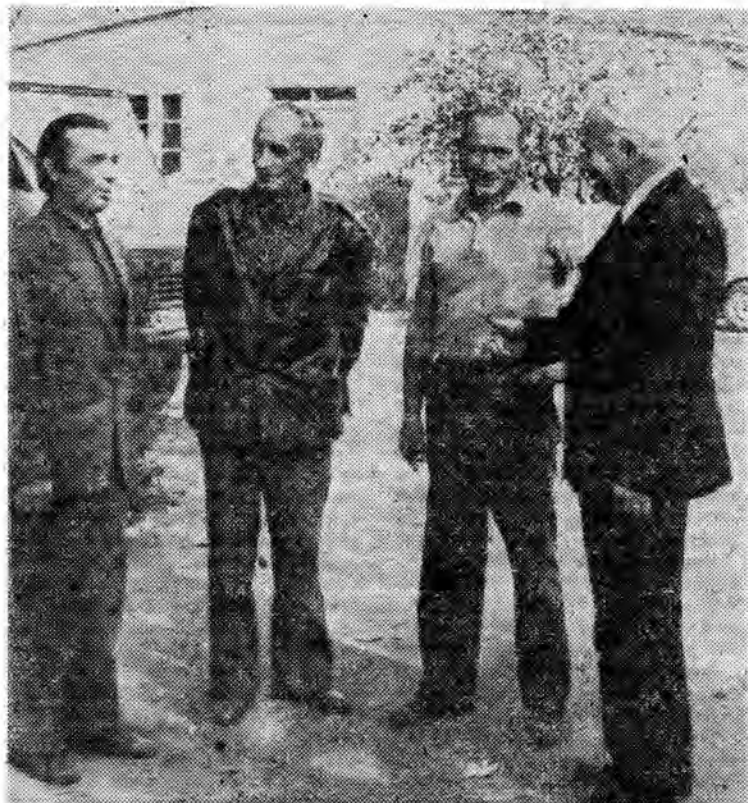
Hodowla pszczoły wcale nie jest biznesem, jak zwykle się przypuszcza, skoro pszczelarze rekrutują się głównie spośród osób starszych wiekiem. — Pszczoła — podkreślano — daje 90 procent korzyści rolnictwu, a tylko 10 proc. hodowcy. Dlatego powinno się o nich dbać, a nie doprowadzać do tego, by musieli pukać w otwarte drzwi.

Poza tym jak rozumieć zarządzenie wojewody katowickiego, uprawniające do zakupu 10 kg cukru za jeden kilogram sprzedanego miodu? Czy dalej istnieje podział na Polskę „A” i „B”? Co zdziałał związek pszczelarski, by rozwikłać problem zimowego podkarmiania? Nic.

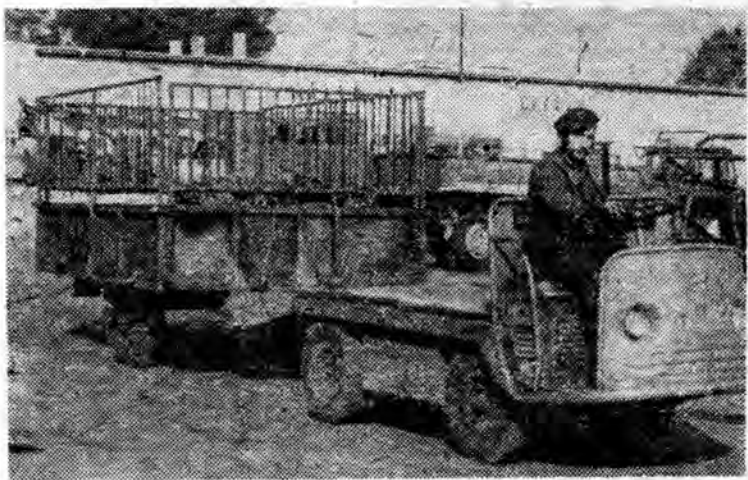
W efekcie ustalono, że pasieki znajdujące się w rejonach spadziowych — otrzymają po 6 kilogramów cukru, pozostałe — po 3 kg. Trudno wyrokować czy jest to decyzja słuszna, na pewno nie usatysfakcjonuje wszystkich (co już dało się odczuć podczas spotkania) ale jest chyba jedynym sposobem utrzymania przy życiu wszystkich rodzin pszczeli.

Na marginesie — mała uwaga. Nie neguję, że zbiory w tym roku były różnicowane. Trudno jednak zrozumieć tych, którym urodzaj dopisał, a mimo to w płacziwym tonie domagali się rozdzielenia cukru każdemu jednakowo, bez uzależnienia od sprzedaży miodu w uświadczonym punkcie skupu. Od kogo zatem pochodzi sprzedawany później na targu produkt pszczoły w cenie po 500 złotych za półlitrowy stoik? Czy jest to gra uczciwa?

(twoj-nek)



Kierownik transportu PIOTR HADY, zaopatrzeniowiec BOLESŁAW DZIKI, kierowca STANISŁAW MUCHA i dyrektor EDWARD INGLOT — pracują w POM Bobrowka od jego powstania. 30-letni staż pracy mają również: spawacz — kowal WŁADYSŁAW GDAŃSKI, kierownik magazynu bazy paliw JÓZEF ZAZULKA, traktorzysta TEOFIL STYSIAŁ, księgowa MARIA BIENIARZ i mechanik MARIAN GREŃDA 25 i więcej lat pracują: MIECZYSLAW MIŚ, BRONISŁAW BUK, JULIAN HULAWY, MICHAŁ JAREMKO, EDWARD GREŁA, JAN MOTYKA, JAN HUK, JAN LIS i WŁADYSŁAW WITYK.



Gdyby nie kłopoty z ogumieniem to poszukiwanych przyczep do przewozu żywa byłoby więcej, bo oferta dla rolnictwa jest bardzo atrakcyjna, m. in. ze względu na przystępną cenę (22 tysiące złotych).

Fot. TERESA ZIEMBOLEWSKA



Fot. T.Z.

NOWY ROK DZIAŁALNOŚCI KULTURALNEJ

W Gminnym Ośrodku Kultury w Laszkach odbyła się wojewódzka inauguracja roku działalności kulturalnej. W trakcie uroczystości ludziom zasłużonym dla rozwoju kultury i oświaty w naszym regionie wręczono dyplomy honorowe, nagrody i odznaczenia.

Srebrnym Krzyżem Zasługi udekorowano MARIĘ ZIEBINSKĄ, a odznaką „Za zasługi dla województwa przemyskiego” — TADEUSZA DOBROWOLSKIEGO. Medale „Za wybitne osiągnięcia w województwie przemyskim” otrzymali: OLGA SKORSKA (oświata i wychowanie), STEFAN WYRZYCZ (plastyka), STANISŁAW GAJERSKI i ANTONI KUNYSZ (nauka), JOZEF PLUCHA wyróżniony został przyznaniem przez ministra kultury i sztuki złotą odznaką „Za opiekę nad zabytkami”, a ANTONI CIESZYŃSKI — srebrną. Nagrody pieniężne ministra wręczono członkom zespołów muzycznych: WŁADYSŁAWOWI ZUBICKIEMU z Jarosławia i KAZIMIERZOWI MACOWI z Kisielowa. 15 osobom przyznano odznakę „Zasłużony działacz kultury”, a 5 — nagrody pieniężne dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW i dyplomy za upowszechnianie kultury.

Uroczystość inauguracji odbyła się w Laszkach nieprzypadkowo — rozpoczęły właśnie rok pracy k.o. na upłynął pod hasłem

priorytetu dla rozwoju kultury na wsi. Mówił o tym w swym wystąpieniu dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW Zygmunt Mirecki, który przedstawił także najpilniejsze zadania pracy k.o. w najbliższych miesiącach na tle całokształtu spraw dotyczących pracowników kultury, twórców i wreszcie — samych uczestników kultury.

Działalność kulturalna w obecnym sezonie prowadzona będzie w warunkach reformy gospodarczej, co zapewne nie pozostanie bez wpływu na nią. Nie wiadomo więc — jak wyraził się mówca — czy plan pracy k.o. będzie planem obaw, czy nadziei. Pewnym optymizmem napawa fakt, że nierzadko zaczyna się dostrzegać sprawy kultury i może wreszcie przestanie ona być tą dziedziną, w której dokonuje się pierwszych i najważniejszych cięć finansowych, gdy przychodzi konieczność zaskisania pasa.

Do ważniejszych spraw zalicza się konieczność lepszego wyposażenia terenowych placówek k.o., ale nie tylko; potrzebna jest także weryfikacja kadr w trosce o lepszą jakość pracy. Do często spotykanych należą przypadki łamania dyscypliny pracy; niektóre placówki są zbyt często zamknięte, inne pracują jak urzędy — do 15. Aby polepszyć sytuację planuje się wygospodarowanie dodatkowych etatów

dla organizatorów pracy k.o. na wsi oraz doskonalenie ludzi już zatrudnionych, a także udzielanie placówkom pomocy metodycznej i finansowej. Wyżej powinny ustawić sobie poprzeczkę gminne ośrodki kultury, które — niestety — nie spełniają w środowisku takiej roli, jaką zakładano. Szczególnie istotne jest reaktywowanie i rozwijanie amatorskiego ruchu artystycznego.

Jeśli chodzi o wiejskie placówki kulturalne, to tylko „Ruch” opowiedział się za ich dalszym rozwojem. Gorzej natomiast jest z klubami „Rolnika” podległymi GS-om, które właściwie nie zajęły stanowiska, a jak wiemy, nie jest z tymi klubami najlepiej.

Sprawą niepokojącą jest tendencja do likwidacji zakładowych klubów, w których — swoją drogą — na ogół niewiele się dzieje.

To tylko cięć z zaszyfrowanych u progów sezonu problemów. Rozpoczęty właśnie rok pracy kulturalno-oświatowej będzie z pewnością inny niż lata ubiegłe — nie łatwiejszy, być może — trudniejszy. Ale wydaje się, że zarysowują się możliwości rozwiązania niektórych problemów nurtujących środowisko ludzi kultury. Jeśli oczywiście wszystko to, co zostało powiedziane, będzie potraktowane poważnie i konsekwentnie realizowane. (bs)

GDY POD CIESZANOWEM STAŁY SŁUPY GRANICZNE

(prostowanie nieścisłości historycznych)

1 września 1939 r. rocznik mój miał rozpocząć naukę w klasie I. Niestety, wybuchła wojna, która na ówczesnych siedmiolatkach wycisnęła swoje piętno, wojna, której wydarzenia zakodowane zostały w naszej świadomości do tego stopnia, iż dziś nie potrafimy sobie w żaden sposób przypomnieć tej chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyliśmy progi szkoły. Pamiętam za to dobrze inne wydarzenia. Jako historyk w szczególniejszym stopniu cenię to w sobie, gdyż dzięki temu ma świadomość jest bardziej wyczułona na wydobywanie wszelkich nieścisłości, które zakradły się do literatury pamiętnikarskiej i opracowań historycznych. O ich rozmiarach i zasięgu niech świadczy jeden przykład: losy powiatu lubaczowskiego po klęsce wrześniowej.

Na wstępie przypomnę, iż przed wojną powiat lubaczowski wchodził w skład województwa lwowskiego. Na wschodzie graniczył z powiatem rawskim, na południu z jaworowskim, na zachodzie z jarosławskim, a więc z powiatami, które wchodziły również w skład tego województwa, a nadto, od zachodu i północy przytykał do granic powiatów biłgorajskiego i tomaszowskiego, które leżały w obrębie województwa lubelskiego. Linia demarkacyjna, wytyczona między Niemcami a ZSRR, rozdzieliła powiat lubaczowski na dwie, mniej więcej równe, części. Obszar północno-zachodni znalazł się po stronie niemieckiej, a południowo-wschodni po radzieckiej. Tereny zajęte przez Niemców weszły w skład tzw. Generalnego Gubernatorstwa i włączone zostały do dystryktu lubelskiego, przy czym gminę Dziaków Stary wchłonął pow. biłgorajski, a Cieszanów oraz gminy zbiorowe Cieszanów - -Wież, Plazów, Narol i Lipsko — tomaszowski, a później w 1940 r., wraz z nim weszły one w skład pow. zamojskiego. Obszar południowo-wschodni, na którym leżały m. in.: Lubaczów, Oleszyce i Horyniec — włączono do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i utworzono na nim rejon lubaczowski, dodając doń te gminy z b. pow. jarosławskiego, które położone były za Sanem (rejon wchodził w skład lwowskiej oblasti).

W 1940 r. nastąpiły dalsze

zmiany. Lubaczowski rejon podzielono na cztery mniejsze: lubaczowski i horyniecki (w obrębie których znalazły się tereny b. pow. lubaczowskiego) oraz sieniawski i laszkowski (które obejmowały obszary z pow. jarosławskiego). Po ataku Niemców na ZSRR i zajęciu tego terenu przez hitlerowców — rejon sieniawski i laszkowski połączono z pow. jarosławskim i wraz z nim włączono do dystryktu krakowskiego, zaś lubaczowski i horyniecki — do pow. rawskiego, który utworzyli Niemcy w obrębie dystryktu galicyjskiego.

Stan taki utrzymał się aż do końca okupacji, a więc do 21 lipca 1944 r. Po wyzwoleniu, w ramach nowo utworzonego województwa rzeszowskiego, reaktywowano pow. lubaczowski, przy czym obszar jego został nieco powiększony o skrawki pow. rawskiego (Dziewiczyca, Radruż, Werchrata) i jaworowskiego (gmina Wielkie Oczy), które, po ustanowieniu granicy polsko-radzieckiej, znalazły się po naszej stronie.

Tak mniej więcej, w wielkim skrócie, wygląda istota problemu. W różnorodnych publikacjach, tak pamiętnikarskich, jak i historycznych opracowaniach monograficznych, występują dość liczne błędne informacje na ten temat. Najczęściej spotkać się można z poglądem, iż te części pow. lubaczowskiego, którą w 1939 r. zajęli Niemcy, jesienią 1941 r. włączono do dystryktu lubelskiego i dookreślono do dystryktu galicyjskiego. Widoczne to jest wyraźnie na mapie, którą opracował JULIAN JAŃCZAK („Polska podczas drugiej wojny światowej”, Warszawa 1964), CZESŁAW MADAJCZYK („Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce”, t. II, Warszawa 1970), bezkrytycznie włączając ją do swej pracy, zaakceptował tym samym tę nieścisłość. Autorytet uczonego wycisnął z kolei swe piętno na pracy MIECZYŚLAWA ARGASINSKIEGO („Zarys dziejów tajnej oświaty w powiecie lubaczowskim”, „Rocznik Komisji Nauk Pedagogicznych”, t. XIX, 1976), który marginesowo problem ten poruszył. Echa tej nieścisłości spotkać także można w pracy STANISŁAWA ZABIEROWSKIEGO („Rzeszowskie pod okupacją hitlerowską”, War-

szawa 1975) (...).

W pracy WŁADYSŁAWA CWIKA i JERZEGO REDERA („Lubelszczyzna. Dzieje rozwoju terytorialnego, podziałów administracyjnych i ustroju władz”, Lublin 1977) okupacyjne losy terenu pow. lubaczowskiego nie zostały również właściwie przedstawione. Problem ten poruszają autorzy przy omawianiu granicy dystryktu lubelskiego. Piszą, że na „południowym wschodzie w skład dystryktu weszły części powiatów łańcuckiego, jarosławskiego, lubaczowskiego, rawsko-ruskiego i sokalskiego (m. in. Dziaków Stary, Cieszanów, Narol, Belz, Uhnów). Nabytki południowo-wschodnie, położone wzdłuż granicy na wschód od Krzeszowa, dystrykt lubelski utracił w jesieni 1941 roku na rzecz nowo utworzonego dystryktu galicyjskiego, powracając w ten sposób na tym odcinku mniej więcej do linii granicznej przedwojennego województwa” (lubelskiego — SFG).

Zgola inaczej interesujący nas tu problem przedstawił JAN CZAPLA („Walka z OUN-UPA w latach 1944—1947” pod red. M. Turlejskiej, Warszawa 1966). Pisze on: „Tereny powiatu lubaczowskiego (po klęsce wrześniowej — SFG) wraz z Zachodnią Ukrainą weszły w skład Ukraińskiej Radzieckiej. Granica radziecko-niemiecka przebiegała na tym odcinku wzdłuż Bugu oraz obok Sokala, Werchraty, Sieniawy, a następnie wzdłuż Sanu z pozostawieniem Lubaczowa i części Przemyśla po stronie radzieckiej. (...) Po 1941 r. struktura administracyjna uległa pewnym zmianom. Niemieckie władze okupacyjne zlikwidowały powiat lubaczowski, a sam Lubaczów oraz gminy Oleszyce, Krowica, Horyniec przyłączyły do powiatu Rawa Ruska, wchodzącego w skład utworzonego w 1941 r. dystryktu „Galizien”. Resztę ziem lubaczowskiej włączono do powiatu biłgorajskiego i zamojskiego, do którego przyłączono również cały powiat Tomaszowski”.

Chcąc spiąć w jedną całość grupę tych nieścisłości wspomnę tu jeszcze o tym, iż w pracy ZYGMUNTA MANKOWSKIEGO („Między Wisłą a Bugiem 1939—1944”, Lublin 1978), przy omawianiu granic dystryktu lubelskiego, znajdu-

jemy takąową informację: „Dystrykt ten objął w sąsiedzie obszar przedwojennego województwa (lubelskiego — SFG), z którego jednak odłączono pow. siedlecki i część lukowskiego, które przeszły do dystryktu warszawskiego, a dołączono cztery gminy z dawnego woj. lwowskiego i krakowskiego (Belz, Bełżec, Cieszanów i Ulanów) oraz mały nadwiślański obszar na północ od Puław (z pow. garwolińskiego)”.

Druga grupa nieścisłości pojawia się wyraźnie we wspomnieniach radzieckich kombatanów, którzy w latach wojny przemierzali nasze tereny z oddziałami partyzanckimi, a dotyczą one umiejscawiania zachodniej granicy ZSRR.

Przypomnę tu, iż rząd ZSRR nie zaakceptował nigdy zmian jakie zaszły po 22 czerwca 1941 r., a zatem za swą granicę zachodnią przez cały okres wojny uważał linię demarkacyjną ustaloną w 1939 r. Linia ta, jeśli chodzi o teren pow. lubaczowskiego, jak wspominałem już wcześniej, przedzieliła go na dwie, mniej więcej, równe części. Po ataku niemieckim na ZSRR i włączeniu dystryktu galicyjskiego do Generalnego Gubernatorstwa straciła ona swe dotychczasowe znaczenie. Niemiecka straż graniczna wyjechała z tego terenu, a ludność rozebrała zasieki z drutu kolczastego i powykopywała słupy graniczne. Po granicy tej w 1944 r. nie było już ani śladu. Fakt ten podkreślał tu dość mocno, gdyż PETRO WERSZYHORA („Operacja San — Wisła”, Warszawa 1964), dowódca wielkiego zgrupowania partyzanckiego, pisze, iż zobaczył podczas marszu „przy polnej studziennie, między dwiema topolami kamiennymi posązek. Obok Madonny stał pochyłony słup, który wyglądał na graniczny”. Na temat granicy i przejścia przez nią autor dość dużo pisze, ale z braku miejsca nie przytoczę tu jego słów. Z tych też względów nie cytuję PIOTRA BRAJKI („Uwaga Kowpak”, Lublin 1975), który jako dowódca 3 pułku w zgrupowaniu Petra Werszyhory, po przejściu torów kolejowych za Rawą Ruską, zatrzymał się „w polskiej wsi Brusno Nowe, położonej dziesięć kilometrów od granicy”. Autor ma tu oczywiście na myśli obecną

granicę polsko-radziecką, a co za tym idzie — błędnie lokalizuje miejsce pierwszego spotkania z przedstawicielami polskiego ruchu oporu (odbyło się w Borowcu, za Lublińcem Starym i Zamchem, a nie w Brusnie Nowym). Również GRIGORIJ KOWALEW („Oddział partyzancki im. N. Chruszczowa”, opracowanie W. Góry i S. Wrońskiego, Warszawa 1966), pisząc o marszu dowodzonego przez siebie oddziału podaje, że trasa prowadziła przez: „Sochanie — Chmiele — Słotwina — przejście linii kolejowej na wschód od Słotwiny — Kuciery — Ług — Radruż — granica”. A więc granica tu, gdzie dziś jest! Nic więc dziwnego, iż WITOLD SZYM CZYK („Na wojennym szlaku”, Rzeszów 1980), pisząc o przygotowaniach niemieckich do uderzenia na ZSRR i informacjach zdobywanych na ten temat przez radzieckich pograniczników, pisze: „Zadania z radzieckich strażnic pogranicznych od Werchraty po Tworylne nie dała się zaskoczyć”. Pod Werchratą w 1941 r. strażnic granicznych nie było, a stanęły dopiero w 1944 r., po ustaleniu nowej granicy polsko-radzieckiej przez przedstawicieli PKWN i rządu ZSRR. Faktu tego nie można stracić z pola widzenia, gdyż w przeciwnym wypadku wypacza się obraz prawdy historycznej.

Wszystkie przytoczone tu błędy związane z ustaloną w 1939 r. linią demarkacyjną niebicie dowodzą o rozmiarach chaosu wprowadzonego do literatury historycznej. Osobiście bez trudu je dostrzegłem, a to dzięki temu, iż dobrze pamiętam czasy, gdy pod Cieszanowem stały słupy graniczne. Na nieścisłości te zwracałem już wcześniej, acz marginesowo, uwagę badaczy („Studia Historyczne”, R. XXI, 1978, z. 2), ale prostowanie ich, gdy wkradną się do publikacji, nie należy do spraw prostych. Stąd uważam, iż nakazem wprost chwili staje się potrzeba monograficznego opracowania dziejów terenu pow. lubaczowskiego w latach ostatniej wojny, by wprowadzić w krwioobieg literatury historycznej rzeczowe dane. Problemów, które wymagają uściślenia i sprostowania, jest zresztą daleko więcej (...)

STANISŁAW F. GAJERSKI

ŻAŁOSNE POHUKIWANIE

W WDK odbył się niedawno przegląd amatorskich zespołów instrumentalno-wokalnych, połączony z eliminacjami wojewódzkimi VI Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki — „Toruń-82”. Przydługa nazwa imprezy mogłaby sugerować duże wydarzenie w muzyce młodzieżowej naszego regionu, gdzie od czasu do czasu pojawiały się utalentowane grupy, zdobywające nawet nagrody w ogólnokrajowych przeglądach. Tym razem było to jednak wydarzenie o zupełnie innym charakterze.

ESZCZE PRZED ROZPOCZĘCIEM KONCERTU w sali odezwały się gwizdy i pohukiwania, które miały wprowadzić żywiołowy nastrój, jaki towarzyszy obecnie „muzyce młodej generacji”. Po otwarciu kurtyny gwizdy stały się ciągłe, wrzask zaczął osiągać maksymalne natężenie. Uformowała się dość liczna grupa wyrostków, która usiłowała naśladować żywiołową reakcję, jaka towarzyszy koncertom zespołów młodzieżowych w innych krajach, gdyż taka nastąpiła moda, zernięta zresztą jeszcze z czasów presleyowsko-bitlesowskich. Zgodnie z tym prądem, podparzonym także w programach TVP, stado nieponi, o zdecydowanie bezmyślnym wyrazie twarzy, nieudolnie naśladowało sposób odbioru koncertów młodzieżowych, jaki gdzieś tam ledwie podglądano. Wszelko byłoby w najlepszym porządku, gdyż wyzywanie się przy rytmicznej i głośnej muzyce może być całkiem nawet zdrowe, co zresztą potwierdza historia tej muzyki, gdyby jednak odbywało się to zgodnie z powszechnie przyjętymi regułami i prawdziwymi odczuciami młodej widowni. Tymczasem kilkudziesięciu, wyraźnie odpornych na wszelką muzykę, „melomanów” urządziło sobie festiwal karczemnego zachowania. Padły ordynarne wyrazy, na wskroś prymitywne zwroty pod adresem występujących na estradzie, usiłowano wdrzeć się na scenę, aby... uściskać ulubieńców. Na sali organizatorzy kilkakrotnie zapalali światła i wtedy rozwydrzeni „kanibale” nieco się mitygowali, gdyż są to osobnicy z gatunku tych, którzy pewność siebie zachowują tylko w grupie i po ciemku.

Jest sprawą oczywistą, że żaden (ani żadna) z tej watahy pojęcia nie ma o dobrej muzyce (o żadnej zresztą), a młodzieżowy koncert traktuje wyłącznie jako usankcjonowaną w pewnym sensie możliwość okazania swych zwierzęcych instynktów. Najlepiej potwierdza to fakt, że pozostała (znaczną część) widowni, z politowaniem patrzyła na prymitywnych zachwalców, skutecznie utrudniających odbiór występu młodych muzyków.

Ci zaś również niczego dobrego nie zaprezentowali. W przeglądzie wzięło udział siedem zespołów i na dobrą sprawę o siedem za dużo. Trudno winić za to organizatorów, którzy zgodnie z regułami imprezy dopuszczają do konkursu każdy zgłoszony zespół — zwłaszcza że reprezentuje on konkretną placówkę kulturalną, względnie instytucję. Te zaś zupełnie — jak z powyższego wynika — nie troszczą się o poziom zespołów, na które bądź co bądź łożą pieniądze, i to spore zapewne, sądząc po instrumentalach, aparaturze elektroakustycznej itp. Jeśli mamy nawet (a jest to niewątpliwe) sukcesy w innych dziedzinach amatorskiego ruchu artystycznego, to muzyka młodzieżowa stoi na najniższym poziomie, być może dlatego, że rodzi się szybko, często samoistnie, a tym samym umyka spod kontroli.

Podstawową dewizą uczestników eliminacji był jak naj-

potężniejszy huk, na zasadzie, że im głośniejszy, tym lepiej. Muzyka młodzieżowa słynie z dużego natężenia dźwięków, ale jest to dobre wyłącznie wtedy, gdy dźwięki te są sensownie dobrane, całość zaś właściwie zaaranżowana. Jeśli zaś — a tak było podczas koncertu w WDK — kaskadą bezmyślności góruje nad wszystkim innym, nie może być mowy o jakiegokolwiek muzyce. Dziwi zatem fakt, że jurorzy podkreślili w swym protokole „znacznie wyższy poziom eliminacji wojewódzkich w stosunku do roku ubiegłego” oraz zwrócili uwagę na „poszukiwanie nowych form twórczości artystycznej”. Jest to po prostu kompromitujące stwierdzenie.

Na eliminacje wojewódzkie VI Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki, które odbędą się w Lublinie w marcu przyszłego roku, wytypowano zespół „Dynamis” z Osiedlowego Domu Kultury Przemyskiej Spółdzielni Mieszkańcowej, jedyną grupę, któ-

ka wokalistów, która do niedawna była jego mocną stroną. „Centrum” pokazało jak zwykle dobre opanowanie warsztatu, wiele ciekawych rozwiązań aranżacyjnych i nieporównywalnie górowało nad tymi, których z niesmakami słuchaliśmy w pierwszej części koncertu. Trudno jednak oprzeć się refleksji, że grupa ta znalazła się — przynajmniej na razie — na rozdrożu. W przeszłości był to zespół, który z równym powodzeniem występował przed dorosłą, jak i młodzieżową publicznością. Powodował to urozmaicony repertuar, szereg własnych, oryginalnych kompozycji, a także umiejętnie „powielonych” przebojów światowych. Nie trzeba przecież dodawać, że w takim kształcie „Centrum” osiągało największe sukcesy, nie tylko w Przemyślu, nie tylko w kraju, lecz także poza jego granicami. Dziś grupa znalazła się jakby w punkcie wyjściowym, nadmiernie chyba zafascynowana „muzyką młodej generacji”.



ra jako tako wyróżniała się spośród koncertujących. Dodać jednak trzeba, że być odrobinę lepszym od bardzo słabych, nie jest zbyt dużą sztuką.

W sumie poziom tegorocznych eliminacji był żenujący, publiczność zaś dostroiła się doń w sposób niemal idealny.

W DRUGIEJ CZĘŚCI KONCERTU wystąpiła grupa „Centrum” z WDK, która zaprezentowała fragmenty swego nowego programu, wyraźnie zmodyfikowanego. Z zespołu odeszła ostatnio trój-

Jest to pierwsze, najbardziej odczuwalne spostrzeżenie, chociaż należy dodać, że dokładniejsze, ocenianie „Centrum” na podstawie tego tylko koncertu, nie jest możliwe. Choćby z tej prostej przyczyny, że podczas występu wspomniana już grupa głuchych, ale nie niemych nie pozwoliła na właściwy odbiór programu. Na pełną ocenę trzeba zatem jeszcze zacząć.

(j)

Fot. B. PAWŁOWSKI

z teki edwarda kmiecika



STANISŁAW CHUDZIKIEWICZ
— nauczyciel ZSZ w Dynowie
działacz sportowy

Bedeusz Piekto

A JA JESTEM AMATOR

Zegarmistrze poezji
nie uczynią niczego dobrego,
Dla nich światłem przewodnim
jest precyzja i szczegół;
każdą szczelną wiersza
zopychają kitem idei.

Milimetrowa poezja
znaczenia odzwierciedla,
porusza chciane trybiki —
i tekst się do szpalty klei.

A ja jestem amator
nieuczony na polonistykach.
Nie lubię idei martwych
i pewnych swego krytyków.
Posiadałem nad klasykami —
a wciąż nie wiem, gdzie mam swój dom.

Słowa pisane nad Sanem
zawierzam porannym mgłom.

Wiatr mi rozwiewa rymy,
koszule i sznurowadła.
Płyną przeze mnie muzyczne doliny
a w nich wyobraźnia układa
pasma barw, wachlarze dźwięków
i gęste bukiety woni.

Drobnym chwilom i małym wzgórzom
zawsze chcę się pięknie uklonić,
z każdej twarzy i dłoni wróżę,
ciągle nową zachwycać się różę.

Poezjo, wodo, urodo —
czy mało to, czy bardzo dużo?

O NFOZ raz jeszcze

Wrześnie zebranie przemyskiego WK NFOZ przeprowadzono przede wszystkim po to, by dokonać aktualizacji składu i pobudzić do działania to społeczne ciało, bo — powiedziano to sobie otwarcie — w Komitecie ostatnio niewiele się dzieje.

Przewodniczącym nowo wybranego prezydium WK NFOZ został ALBIN CZAK. Na czele komisji finansowo-inwestycyjnej stanął JAROSŁAW BAK, a organizacyjno-propagandowej — TADEUSZ BAŁDOWSKI. Sądząc po przymiarkach do działania można mieć nadzieję, że dokonane zmiany nie okażą się czczą formalnością. Obyśmy się nie zawiedli!

Gdy NFOZ powstał, obudziła się w społeczeństwie nadzieja, że coś nareszcie w służbie zdrowia ruszy. Zawiazali się społeczne komitety, na konta coraz to większym strumieniem napływały pieniądze. Po latach, gdy wypadałoby oczekiwać widocznych efektów tych społecznych świadczeń, okazało się, że tak naprawdę nie bardzo jest się czym pochwalić, choć tu i ówdzie zakupiono trochę sprzętu medycznego (ale za to nie wszędzie go zamontowano) oraz rozpoczęto budowy, które — niestety — ciągną się w nieskończoność.

Reakcją na taki stan rzeczy stała się odmowa dalszych wpłat na konto NFOZ przez zarządy niektórych zakładów — jak powiedziała jedna z członkiń komitetu — bo nie dość, że nie widać żadnej poprawy, to w dodatku brak rzetelnej informacji o rozchodowaniu funduszu sprzyja powstawaniu plotek i nieporozumień. Podniosły się także głosy powątpiewające w słuszność obwarowyjących NFOZ przepi-

sów, co także niekiedy staje się przeszkodą w realizacji celów istotnych z punktu widzenia potrzeb społecznych.

Aby przekonać do sprawy zarządy, które odmówiły płacenia składek, potrzebne były rozmowy przedstawicieli FJN ze związkami zawodowymi, które być może przywrócić zaufanie do tej służby w założeniach inicjatywy. Jednak za chodzą obawa — co wyraźnie podkreślono — że plan tegorocznej zbiórki (choć niższy od ubiegłorocznego) może nie zostać zrealizowany, gdyż w ostatnich miesiącach wpłaty znacznie spadły.

Przyczyną ostudzenia społecznego zapału jest przede wszystkim — tak sądzą — słomazarnie tempo realizacji inwestycji (co w efekcie podraża ich koszt i powoduje brak widocznych efektów poprawy w zakresie ochrony zdrowia) oraz nie zawsze przemyślane zakupy aparatury medycznej, w którą jedne placówki zaopatrują się na wyrost (nie bacząc, że nie ma gdzie jej zamontować), podczas gdy brak

jej tam, gdzie akurat jest miejsce, a co ważniejsze — paląca potrzeba. Taki właśnie zarząd postawiła reprezentantka środowiska lubaczowskiego, przedstawiając niezwykle uciążliwą sytuację mieszkańców tego rejonu, którzy nie mają się gdzie prześwietlić, nie mówiąc już o niedostatkach opieki lekarskiej i dentystrycznej. Tego typu zaniedbania i nieprawidłowości zniechęcają — jej zdaniem — ludzi dołożenia na NFOZ.

Gwoli informacji przypominać, że od momentu powstania NFOZ w 1973 r. do końca sierpnia br. na jego konto w Przemysku wpłynęło 122 837 tys. zł (włącznie z kwotą przekazaną przez Rzeszów po reformie administracyjnej). Plan wpłat na rok bieżący opiewa na 20 mln zł, przy czym do końca sierpnia wpłynęło 11 662 tys. zł.

Wartość zrealizowanych dotychczas i będących w trakcie realizacji inwestycji — przede wszystkim większych ośrodków zdrowia i przyszpitalnych baraków „Skopje” — wynosi ok.

33,5 mln zł. Za ponad 14 mln zł zakupiono sprzęt medyczny (w tym elektroencefalograf i 6 aparatów rentgenowskich oraz 15 karettek pogotowia). W sumie wydatkowano 47,7 mln zł; stan konta wynosi obecnie 75 125 tys. zł.

W planie inwestycyjnym na lata 1981 — 1985 ujęto budowę ośrodków zdrowia w Jaworniku Polskim i Bukawcu oraz żłobka w Lubaczowie i dofinansowanie budowy ośrodka zdrowia w Medyce.

Tak przedstawiają się dotychczasowe wydatki i najbliższe zamierzenia NFOZ. A więc jednak jakiś pożytek z tego społecznego grosza jest, choć mógłby być większy.

Sprawę niezwykle dla Przemysła istotną poruszyła pielęgniarka Krystyna Beer, która mówiła o fatalnych warunkach pracy pogotowia ratunkowego. Zasygnalizowała ona gotowość ludzi do podjęcia inicjatywy społecznej: budowy stacji pogotowia, zamiast bezkresnego wyciekowania. Potrzebny jest teren i środki finansowe, ktoś nawet — jak poinformowała zadeklarował się wykonać na ten cel pustaki, a więc byłoby od czego zacząć. Symptomatyczne i niepokojące jest to, że temat nieczym piłeczka ping-pongowa odbił się od stołu obrad. Fakt, że zebranie zwołano w innym celu, ale dla czego — jeśli propozycja jest niedorzeczna — nikt o tym nie powiedział, albo — jeśli jest do przyjęcia — nie okazał głębszego zainteresowania sprawą? Ustyszełszy, że nadal będą budowane wiejskie ośrodki zdrowia, choć podobno właśnie w tym względzie jest u nas najgorzej. Przemilczano jednak propozycję nietykalną, wymagającą większej

inicjatywy. Czyżby programowa rezygnacja ze zmagania z przeszkodami „nie do pokonania”?

Właściwie niczego, co tchnęłoby szczególnym optymizmem nie powiedziano. Zawszą widzieliśmy powszechny bałagan i niemoc. Klasyczny przykład to ośrodek zdrowia w Drohobyczce. Budowa rozpoczęła się ok. 6 lat temu. Do dziś jedzie poślizgiem. Ostatnio zdolano uzyskać zapewnienie, że zostanie zabezpieczona na zimę. Smutne, ale, niestety, nie odosobnione.

Z pokontrolnego protokołu NIK nie wynika, iżby konto NFOZ obciążone było nadużyciami. Zarządy koncentrują się zasadniczo wokół realizacji inwestycji. W związku z tym protokół zawierał wiele rad — dobrych na wszystko i rzucanych sobie a muzom. Zgodnie z zaleceniami należało więc przeprowadzić weryfikację członków komitetu NFOZ. Wykonano. Ponadto zacieśniać współpracę z jednostkami administracji terenowej i Wydziałem Zdrowia i Opieki Społecznej UW, kontrolować przebieg inwestycji, podjąć skuteczne działania w celu likwidacji niedociągnięć i spowodować przystąpienie do wykonania tego, co z różnych przyczyn nie jest realizowane.

Trudno tylko wywnioskować, jaki jest właściwie zakres kompetencji i kto ma za co odpowiadać. Czyli nie wiadomo, gdzie jest pies pogrzebany i kto właściwie go pogrzebał: społecznicy, którym nie stało zapału, sytuacja ogólna, czy władze terenowe, albo np. budowlani?

A może wszyscy po trosze?

BARBARA ADAMSKA



— To chyba niewielkie poświęcenie, by robiąc zakupy dla siebie, pamiętać także o sąsiadzie, który złożony chorobą lub starczą niemocą nie może się ruszyć z domu i zdany na łaskę losu nieraz pozostaje bez środków do życia, tych podstawowych jak mleko i chleb — zadał pytanie sam sobie, a za pośrednictwem „Życia” także naszym czytelnikom, p. Franciszek HOP z Birczy, którego list pt. „Pomagajmy sobie wzajemnie” opublikowaliśmy przed tygodniem.

Chyba nie, drogi panie. Ale sam pan pisze, że w środowisku birzezańskim mogłoby być takich ludzi wyczulonych na sytuację bliźniego o wiele więcej. A przecież wymienił pan sporą grupkę sprzymierzeńców opiekuna społecznego, ciepło mówiąc o władzach gminnych i poczynaniach młodzieży z miejscowej szkoły. Więc nie żyje pan w kręgu zobojętniających lub — co gorsze — takim, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem miast przyjaacielem.

W ostatnich tygodniach, z

nastaniem jesieni, przetoczyła się przez nasz kraj, za pośrednictwem tzw. środków masowej komunikacji, fala przeróżnych apelów, których wydźwięk był taki, byśmy w dobie ogólnego kryzysu nie ztratili się zupełnie w pogoni za środkami do życia, lecz zachowali humanitarny wzgląd na drugiego człowieka. W przeciwnym razie przepadniemy jako naród.

Bzdura? W żadnym razie — nie. Głęboka prawda, godna rozważenia. Przeanalizujmy choćby jeden dzień z naszego obecnego życia, zdanego na kolejkę. To, co się w nich wyprawia nieraz trzeba by określić mianem zdziwienia bądź zezwierzenia. Powiedzmy sobie o tym bez ogródek. A przede wszystkim — uświadommy to sobie. Bo nie gorszego, jak zamknąć się w grubej skorupie, oznajmując — „to nie ja tak postępuję, to inni, nie myślę się wtrącać”. Lecz przecież to z tymi „innymi” tworzymy jedno społeczeństwo. Więc istnieje jakaś zbiorowa, moralna odpowiedzialność za to,

jaki ono jest, czy będzie...

— Droga pani, kto dziś reaguje na apele? Tyle ich było w minionych latach, podrywały do czynu, i co? Zeszliśmy na psy. Teraz nie ma nawinaczków. Apele się zdewaluowały, jak reszta wszystko wokół... — pobrzmięwają mi w uszach opinie przygodnych rozmówców, powątpiewających w sens tej pisaniny.

A jednak obstać przy swoim. Jeśli jest choćby iskierka nadziei, że znajdzie się ktoś, do kogo te słowa dotrą, moim obowiązkiem jest głośno je wypowiedzieć. Nawet narazając się na opinię „naiwnej, liczącej na przypływ uczuć”. Ludzkich uczuć, podkreślam.

— Niech opieka zajma się organizacje do tego powołane. Istnieje przecież PCK, działa PKPS... — słyszę nieraz, gdy podnoszę ten problem. Zajmują się, drogi czytelniku, choć to, co czynią, jest dalece niewystarczające, bo siłą rzeczy krąg ich podopiecznych musi być ograniczony. Polski Czerwony Krzyż, na przykład, ma w swej pieczy ponad 50 tys. ludzi samot-

nych i chorych. A przecież w kraju jest ich dużo, dużo więcej. Nie możemy udawać, że ich nie zauważamy. Mieszka ją za ścianą, bądź piętro wyżej. Nieporadni, słabi, niezdolni do walki o własną egzystencję. Nadchodząca zima może być dla nich szczególnie ciężka do przetrwania. Nikomu korona nie spadnie z głowy, gdy zastuka do ich drzwi, pytając — czy może w czymś pomóc. Jeśli nawet ktoś uzna to za natręctwo, na pewno znajdzie się taki, że wizytę taką przyjmie z ulgą.

Aktualnie PCK zakupuje opał i ziemniaki dla swoich podopiecznych. W Przemysku po metrze ziemniaków otrzyma bezpłatnie 59 osób, ponadto Wydział Handlu i Usług wynagrodził dodatkowo na zaopatrzenie zimowe 12 ton węgla. Są to działania nowe, dotychczas niebywałe. Podobne inicjatywy podejmuje ZM PCK w Jarosławiu i Przemysku (w Lubaczowie nie dotrzeszono takowej potrzeby — jak mnie poinformowano w ZW PCK). Tamże oczekuje się na zgłoszenia.

Mnie widziana jest pomoc sąsiadka (odpłatna, a także). Tu nie widać większych postępów. Angażują się te same osoby od lat. Rozgłosu sobie nie życzą. Są bowiem i tacy, którzy czynią to bezinteresownie, z pobudek wyższego rzędu. Uszanujmy zatem ich wolę.

Z pomocy domowej, świadczony przez siostry pogotowia PCK, korzysta w Przemysku około 700 osób, zamieszkałych w rejonie działania 24 punktów opieki nad chorymi w domu, w których pracuje 237 sióstr.

— Przed laty mieliśmy problem z naborem kandydatek na kursy siostr pogotowia PCK. Teraz sytuacja się odmieniła — po raz pierwszy mamy więcej absolwentek tego kursu niż etatów — informuje sekretarz ZW PCK Irena OLEJNIK. — Potrzeby społeczne są oczywiście większe od aktualnego stopnia ich zaspokojenia, co z tego, skoro nie mamy odpowiednio wysokiego funduszu

plac. Tak więc siostry są przeciążone, np. w Przemysku na jedną przypadają średnio 4 podopiecznych.

Paradoks? Są chętne do pracy. Istnieje społeczne zapotrzebowanie, lecz nie ma pieniędzy na utrzymanie niezbędnej liczby etatów. Samo życie...

Rezerwy po prawdzie są — 24 miejsca pracy — ale obwarowane przepisami, że wyłącznie dla punktów nowo tworzonych! Pod żadnym innym pozorem nie można ich naruszyć. Też życie...

Tymczasem owe nowe punkty nie rosną jak grzyby po deszczu. Pojawiają się z rzadka. Właśnie w tym miesiącu otwarto takowy w Horyńcu. Możliwe, że następny powstanie w Oriach, bowiem tamtejszy lekarz Marek Krupowczyk bardzo aktywnie o to zabiega. I na tym podsumowano by rok bieżący. Nie innego nie pozostaje zatem, jak apelować: pomagajmy sobie wzajemnie.

Jesteśmy czujni i skłonni do rozliczeń, więc uprzedzając pytanie o rozdysponowanie darów z zagranicy, płynących od tamtejszych stowarzyszeń czerwono krzyżskich, informujemy, że słodczyce przekazano w całości dla domów dziecka, natomiast artykuły żywnościowe (4,9 tony na całe województwo) społeczna komisja podzieliła pomiędzy domy opieki społecznej, domy dziecka, zakłady wychowawcze, szpitale. Partycypowali w tej puli także podopieczni punktów. Pomiędzy nich rozdysponowano ponadto tonę cukru oraz 30 ton odżywek „Hipp”.

— Tyle dotychczas dostaliśmy i tak właśnie społeczna komisja podzieliła owe czerwono krzyżskie dary. Z Gdańska przywiózł je potężny „Tir”. Wyladowywali tu na miejscu żołnierze z przemyskiego garnizonu (pomagali też inni), którym tą drogą Zarząd Wojewódzki PCK serdecznie dziękuje — powiedziała na zakończenie rozmowy I. Olejnikowa.

I to na początek byłoby tyle o przypływie uczuć.

ALICJA BOGUSŁAWSKA

KOLEGIUM KARZE...

Za oszukiwanie nabywców piwa (pobieranie ceny 9,20 zł za butelkę, zamiast 5,50 zł) — zast. kier. sklepu nr 23 WSS „Spółem” w Przemyślu Krystyna Kowalik (c. Romana, ur. w 1956 r.), ukarana została grzywną 2500 zł oraz obciążona kosztami postępowania i ogłoszenia w prasie treści orzeczenia wydanego w związku z powyższym występkami przez Kolegium ds. Wykroczeń przy prezydencie m. Przemyśla.

WOJEWÓDZKA KOMENDA OHP
W PRZEMYSŁU

POSZUKUJE
POMIESZCZENIA

z przeznaczeniem na magazyn na terenie miasta Przemyśla lub w jego okolicy.

Oferty składać telefonicznie pod nr. 33-20 w godz. 8 do 15.

RADA SPÓŁDZIELNI INWALIDÓW „PRACA”
W PRZEMYSŁU

OGLASZA
KONKURS OTWARTY
na stanowisko kierownika spółdzielni

Spółdzielnia Inwalidów „Praca” zatrudnia 595 pracowników w dwóch branżach:

- ☆ poligraficznej,
 - ☆ krawieckiej.
- Skupia pracowników w trzech zakładach zwartych na terenie miasta Przemyśla.

- Rada stawia kandydatom następujące warunki:
- wykształcenie wyższe (najlepiej ekonomiczne),
 - co najmniej 10-letni staż pracy, a trzyletni w spółdzielczości (wskazany byłby staż kierowniczy).

Nie gwarantujemy mieszkania.

Zgłoszenia i odnośne dokumenty należy przelać na adres: Rada Spółdzielni Inwalidów „Praca”, 37-700 Przemyśl, ul. Jasińskiego 2 — z dopiskiem na kopercie „Konkurs” — do dnia 30 XI 81 r.

O terminie konkursu kandydaci poinformowani będą imiennie.

K-3

Ogłoszenia drobne

ZAMIENIĆ mieszkanie M-3, komfort, w Bielsku-Białej na podobne w Przemyślu lub okolicy. Wiadomość: Przemyśl, ul. Słomkińskiego 3a/22.

LOKAL rzemieślniczy 40 m kw. do wynajęcia. Wiadomość: Przemyśl, ul. Tarnawskiego 12, II piętro.

NOWOCZESNE usługi matrymonialne poleca psycholog. Dyskretna, zapewniona. „Junona”, Przemyśl, ul. Paderewskiego 20/83.

ZGUBIONO plecak z treści: „Zakład Remontowo-Budowlany Józef Oziembowski, Przemyśl, ul. Wieniawskiego 7/13, Bud. uprawn. nr upr. 43/72”.

SPRZEDAM dom drewniany 4-izbowy, w rozliczeniu mieszkanie zastępcze. Wiadomość: Przemyśl, ul. Paderewskiego 31.

ZAMIENIĆ M-2 spółdzielcze na większe w nowym lub starym budownictwie. Wiadomość: Przemyśl, ul. Paderewskiego 11/37.

MŁODE bezdzietne małżeństwo (nauczyciele) poszukuje mieszkania lub pokoju. Informacje kierować pod adresem: Przemyśl, ul. Basztowa 13, Wojewódzki Międzyzakołny Zespół Pieśni i Tańca, tel. 23-59.

BARDOZO pilnie poszukuję pokoju z kuchnią do wynajęcia. Oferty proszę kierować pod adresem: Przemyśl, ul. Piłsudskiego 20, m. 108, tel. 44-95. po godz. 18.

Wszystkim lekarzom i całemu personelowi medycznemu, którzy do ostatniej chwili ratowali życie mojego męża

WŁADYSŁAWA KASZYCKIEGO

oraz tym, którzy wzięli udział w pogrzebie, serdeczne podziękowania składa

żona

Kol. ANTONIEMU DĄBROWSKIEMU

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

O J C A

składają:

dyrekcja oraz Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” Oddziału STW w Przemyślu

NACZELNICY ODCHODZĄ

Czy niewygodny fotel?

Pytanie to, aczkolwiek nieco bulwersujące, coraz częściej pojawia się na ustach samych zainteresowanych (naczelników), a także ludzi, którzy z urzędem mieli i mają bliższy kontakt. Jest to zrozumiałe, gdyż każda władza, obojętnie w jakim działaniu systemie, była i będzie pilnie obserwowana przez rządową społeczność i przy każdej nadarzającej się okazji poddawana analizie z reguły kończącej się mniej lub bardziej wystrzonną krytyką. W naturze bowiem człowieka tkwi niepoprawny szloch przekory i buntu przeciwko każdemu uciskowi, nakazom i rygorom, których — w naszym wypadku — prawnym dawcą jest z reguły urząd, a dla przeciętnego obywatela przeważnie ten znajdujący się najbliżej. Tu najczęściej rozstrzygają się najważniejsze życiowe problemy przeciętnego człowieka. Tu też spadają — a przynajmniej powinny być podejmowane — najistotniejsze decyzje dotyczące społeczno-gospodarczego rozwoju.

Po tym nieco refleksyjnym wstępie, dochodzimy do sedna sprawy, o której coraz głośniejsze w naszym województwie. Na biurku wojewody przemyskiego systematycznie powiększa się liczba podań naczelników miast i gmin z prośbą o zwolnienie z pełnionych dotychczas funkcji i obowiązków. Piszą je najczęściej ludzie z kilkuletnią praktyką, którzy na tych stanowiskach przeżyli i dobrze, zdobywając niezbędne ostrzeżenie w kierowaniu ludzką zbiorą wością, a przede wszystkim duże uznanie i szacunek, które w wielu wypadkach przerodziły się w autentyczny autorytet.

Co więc skłania ich do takiej decyzji? Czy na prawdę tak trudno być naczelnikiem? Czy fotel naczelnika jest obecnie aż tak niewygodny? Czy może nadmiar obowiązków i związana z tym odpowiedzialność przerasta aktualne możliwości pełnienia tej funkcji, określonej ściśle statusem naczelnika?

Indagowani na ten temat sami zainteresowani przeważyli nabierać wody w usta, pochmurnieli nagle i najczęściej wzruszali ramionami, co oznaczać mogło niezadowolenie, dezaprobatę wobec zadawania tego rodzaju pytań.

Nie ma jednak skutku bez określonej przyczyny. Przy dłuższych, niby nie na temat rozmowach, można było jednak wytuskać wiele niebagatelnych ocen i stwierdzeń, które rzucały jasniejsze światło na tzw. meritum sprawy.

RZECZYWISTOŚĆ
I WYMOWA FAKTÓW

Zyjemy w czasach, w których władza, niezależnie od szerokości i zakresu funkcji — jest niepopularna. Obarcza się ją całym złem, jakie spadło na nasz kraj i naród. Kryzys gospodarczy, ogromne braki w zaopatrzeniu rynku w żywność oraz artykuły przemysłowe i środki produkcji, spadek wartości pieniądza oraz niska wydajność pracy — to też wina tych ludzi, którym dano do ręki insygnia władzy. Bije się więc w nich, jak w treningowy worek, domagając się cudów. W tej sytuacji pierwsze cioty spadają zawsze (lub z reguły) na tych, którzy są najbliżsi, a więc na naczelników. Oni poddawani są najgorszym i niewybrednym rozliczeniom z tego, czego nie ma w magazynie, sklepie, na punkcie skupu, czy geoswskim składzie. Jeśli kuleje skup żywności i produktów rolnych, wielkie pretensje mają o to władze wojewódzkie. Gdy brakuje (a najczęściej tak jest) węgla i paszy — rolnicy przeklinają naczelnika, bo źle zarządził. Ba, podejrzewają go nawet o różne ciemne machinacje, stronniczość, a nawet kumoterstwo. Do jakże monstrualnych rozmiarów urosło przyswójkowe kowadło i młot, pomiędzy którym znalazł się nasz nieszczęsny naczelnik gminy. Dodajmy jeszcze, że w tym nierównym pojedynku, pozostaje najczęściej osamotniony, bez wsparcia i pomocy nawet u tych, od których mógłby jej oczekiwać. To już, niestety, od stuleci pokutująca zła przywara naszych współczesności, że jak dobrze, to przyjaćlił wielu. Wówczas i „gloria” wołają i „niech żyje nam”, ale gdy źle, opuszczają wszyscy, a nawet pełną jeszcze w błoto...

Cóż w tej sytuacji ma na swoją obronę naczelnik? Obawiam się, że nawet tak drobiazgowo i pedantycznie opracowany status naczelnika, będzie bardzo krucha tarczą przed bezwzględna wymowa faktów, których sily podważyć nie sposób. A zalecenia wspomnianego statusu są wyrażne i tak buńczuczne, że aż groteskowe czasem. Dla przykładu — weźmy jeden z ośmiu rozdziałów, tej wydaje się, mocno już nieaktualnej w dzisiejszych czasach książeczki.

Oto m. in. zadania naczelnika gminy w dziedzinie rolnictwa i gospodarki żywnościowej: „zapewnić planowy, wszechstronny i szybki rozwój rolnictwa uspołecznionego i indywidualnego oraz wydatny wzrost produkcji rolniczej” (...) poprzez działania zmierzające do racjonalnego wykorzystania gruntów rolnych przez koncentrację ziemi, rozwój produkcji oraz pełne i intensywne zagospodarowanie użytków rolnych we wszystkich sektorach rolnictwa, a także (...) ochronę i rekultywację gruntów, właściwe zagospodarowanie nieruchomości PEZ, wspólnot gruntowych i mienia emigracyjnego...”

Dalej mowa jest o udzielaniu pomocy organizacyjno-technicznej i materiałowej rolnikom, zwłaszcza zespołom specjalistycznym. Wiele mówi się także o gospodarce nawozowej, ochronie roślin, inwestycjach gospodarczych oraz wdrażaniu nowych technologii i postępu technicznego. Status nakazuje również naczelnikowi organizowanie pokazów „uprawy i produkcji, zbioru i przechowywania plodów rolnych, chowu i pielęgnacji zwierząt, uszlachetniania i konserwacji pasz oraz wykorzystania maszyn i urządzeń”.

gnać zwierząt, uszlachetniania i konserwacji pasz oraz wykorzystania maszyn i urządzeń”. Nie, to jeszcze nie wszystko. To dopiero maleńka cząstka zaleceń i obowiązków naczelnika, gdyż niezależnie od tysięcy innych spraw powinien on także koordynować oraz kontrolować „działalność jednostek współpracujących rolników w środkach produkcji, szczególnie w siewach siewnicach, paszach traw, paliwa, materiały budowlane, maszyny i narzędzia rolnicze”.



I na tym jeszcze nie koniec, gdyż obowiązek naczelnika „jako organu wykonawczego i zarządzającego rady narodowej oraz terenowego organu administracji państwowej” zawarte są w 8 obszernych rozdziałach, na 102 stronach omawianego statusu.

Krótko mówiąc to może, ale i mocno gorzko zaprawione stwierdzenie. Istotnie, omnibusów nie ma i nie będziemy od ludzi tego, czego udźwignąć nie mogą i nie potrafią, choćby nawet chcieli. Ale w tym rzecz, że nie chcą i buntują się przeciwko takiej praktyce i metodom, które powodują, że sprawowanie urzędu staje się kłopotliwe, czy wręcz absurdalne. Przesada w kompetencjach i obowiązkach, pompatyczne, nie poparte żadnymi realnymi możliwościami uprawnienia, dobrze obwarowane fasadowością propagandy sukcesu minionych lat, to równocześnie systematyczny upadek władzy i zanikanie funkcji ludowładztwa, którego przedstawicielem jest również naczelnik. Przypomina to po trochu króla bez królestwa lub — jak kto woli — bóstwo bez świątyni i wiernych. Cóż, bowiem może naczelnik, wyposażony w najszersze uprawnienia i jeszcze większe obowiązki (o których mowa w statusie), jeśli brak mu podstawowych środków do realizacji tych poczynań, planów i najpilniejszych zadań. W końcu, jaki będzie miał wpływ na rozwój produkcji rolnej i hodowli, kiedy nie może zagwarantować rolnictwu nawet podstawowych narzędzi, maszyn, nawozów, paszy, materiałów budowlanych, cementu i węgla. Nie dziwny się zatem, że wielu naczelników nie wytrzymuje tego napięcia bezsilności z jednej i niustannych zadań z drugiej strony i po prostu podaje się do dymisji. Uciekają, bo nie widzą realnych możliwości (przynajmniej obecnie) sprawowania władzy, tym bardziej że stare porzekadło o królu Salomonie i pustym naczyńiu nabrało dzisiaj bardzo ostrych i wręcz niebezpiecznych wymiarów. A więc — kryzys władzy, czy świadoma ucieczka od jej wątpliwej aktualnej godności i dostojności?

Jedno jest pewne. Sytuacja ta w województwie przemyskim przybrała rozmiary społecznego problemu. Potwierdza ją nie bez zrozumiętego zakłopotania, wojewoda ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI:

— Odeszło już 12 naczelników, a przynajmniej drugie tyle uczyni to w najbliższej przyszłości. Nie mogę ich satysfakcjonować, bo takie prawa nie mam. Usiłuję jednak przekonywać i przekonuję, chociaż nie zawsze mam pod ręką najlepsze argumenty. Najbardziej martwi to, że odchodzą ludzie wartościowi, z wieloletnią praktyką i dużym doświadczeniem, na ogół lubiani w swoich środowiskach. Może sabszerność to trochę nieprawdziwie, ale tak jest istotnie. W końcu nie wszędzie i nie wszyscy naczelnicy są obiektem do zbierania batów. Społeczeństwo zaczyna rozumieć, że nie nie zrodziło się wyłącznie z wadliwego funkcjonowania administracji, a już na pewno nie z nieudolności, czy słabej woli naczelników. W okresie, gdy przez kraj przewalała się fala strajków, protestów i żądań, administracja pracowała rzetelnie i bez przerwy, chociaż i w tej dziedzinie naszego życia wiele było i jest jeszcze do zrobienia i poprawy. Nie we wszystkich np. urzędach gmin mamy odpowiednie wykwalifikowaną kadrę pracowników. Bardzo często do pracy w administracji trafiają ludzie przypadkowi i nie przygotowani do pełnienia swoich funkcji.

Po pracy urzędu, najczęściej ocenia się naczelnika, który chce uniknąć konfliktu ze społeczeństwem przezwężnie sam zadowolony i rozstrzyga wiele spraw błahych, drugorzędnych, będących w gestii referentów... I w tym całe nieszczęście. Naczelnik powinien być gospodarzem na swoim terenie, kierować urzędem, a nie wyręczać w pracy swoich podwładnych. To trzeba stanowczo zmienić, gdyż w przeciwnym wypadku staniami przed faktem, że nie będzie chętnych do pełnienia tej funkcji. Już obecnie nie jest w tym względzie wąsko i długo trzeba szukać odpowiednich kandydatów, którzy objęliby wakuujące stanowiska. Zależy nam na tym bardzo, bo jakości kadry decyduje o całości pracy administracji w województwie...

Jak więc widać — ważkich powodów, dla których naczelnicy odchodzą jest wiele. Nie sposób jednak omówić wszystkich. Sądzę, i byłoby to nawet bardzo wskazane, aby na ten temat zabrali głos sami zainteresowani. Otwarty i dyskusyjny pozostaje problem anulowania, zmiany lub gruntownej nowelizacji statusu naczelnika gminy. W obecnej bowiem wersji nie pomaga on w pracy, a wręcz ją utrudnia. Naczelnicy nie mogą też pozostać osamotnieni w swojej działalności. Powinni i mają pełne prawo liczyć na pomoc organizacji politycznych, społecznych i związkowych. W obecnych, bardzo skomplikowanych czasach, każda decyzja — szczególnie ta niepopularna — (a także też trzeba podejmować) powinna mieć swoje podłoże w kolektywnych uzgodnieniach, gdyż wówczas dopiero będzie miała szansę pełnej realizacji. A więc wzajemna pomoc, współpraca i odpowiedzialność wszystkich sił społecznych, działających w terenie, może i powinna przywrócić zaufanie do władzy, urzędu, a także ludzi, którzy ją reprezentują.

B. SZAFRANIEC

29 LAT NA POSTERUNKU

Starszego sierżanta WŁADY-SŁAWA BARCIA zna w Dynowie i okolicy — bez żadnej przesady, każdy. Tryskający energią i znanym w środowisku poczuciem humoru, sierżant jest barwną postacią, cieszącą się szacunkiem i zaufaniem. Każdy, kto choć raz z nim się zetknął, wie, że wierny służbowym nakazom oraz własnej życiowej filozofii — bez wyjątków przyczyną „nie rozliczy”, nie wypisze mandatu, nie odprowadzi na posterunek. Często poucza, da przydatne w przestępczym przepisów wskazówki i uściśnięcie dłoni na pożegnanie.

W 1946 roku, jako szesnastolatek, wstąpił do ORMO. Walczył z bandami, ochraniał lokale wyborcze, sklepy i budynki państwowe, chodził na patrol z milicjantami z rodzinnymi Izdebek, pełnił samodzielne, bardzo wtedy niebezpieczne służby.

— Od początku miałem zamiłowanie do walki z wszelkim złem, a sporo było tego w tamtych czasach. W 1951 roku odbywałem służbę wojskową w bułgarskiej Brygadzie WOP. Miałem szansę na pozostanie w wojsku, kroił się nawet kurs oficerski... Ale od października 1952 roku zostałem już milicyjnym mundur. Mielśmy pełne ręce roboty, nie było dni wolnych od pracy. Jak róż w miesiąc komendant dał wolny dzień na odwiedzenie rodziny, to było wszystko. Byliśmy społeczeństwu bardzo potrzebni — mnożyły się kradzieże, chuligańskie „wyskoki” i inne, niebezpieczne dla obywateli historie...

Od 1970 roku sierżant Barcia pracuje w Dynowie dokąd

przeniósł się z Dydn. Przez ten czas poznał w mieście i okolicy każdy kąt, każdego mieszkańca. Wie doskonale na co każdego stać, co może „przeszkrobać”. Nie są to dziś jakieś szczególnie groźne występki. Ot, czasem ktoś przesadzi z alkoholem lub złamie reguły kodeksu drogowego. Ostatnimi czasy Dynów przeżył serię włamań do sklepów. Dzięki operatywności milicjantów przyjeżdżnym rabustom (z Olsztyna i Krakowa) potknęła się noga. Wpadli po serli udanych „występów” w Rzeszowskiem, nie spodziewając się, że ich „na gminie” rozpracują.

— Nie ma w naszym fachu ośmiu godzin pracy, choć na papierze jest. Czasem, gdy zajdzie potrzeba, sięga się funkcjonariuszy z urlopow, a nawet z chorobowego... Milicjant musi sobie wyrobić dobrą opinię i autorytet w środowisku — bez tego nie ma dobrych efektów pracy. Trzeba być niejednokrotnie stróżem prawa, sędzią, psychologiem i mediatorem w jednej osobie. Często jesteśmy wyrozumiali. Rozumiemy, że może się zdarzyć komuś wykroczenie z nieświadomości, czy też zwykłej głupoty. Nie zawsze kara, nawet w postaci mandatu, jest najlepszą receptą. Czasem wystarczy pouczenie i szczerą rozmowa, które dają dużo lepsze wyniki niż sięgnięcie po inne rozwiązania. Miałem już takie przypadki, że jeden przeze mnie „uświadomiony” obywatel, poucał drugiego, by nie wchodził np. w kolizję z przepisami ruchu drogowego. Nie raz koleżdy z Rzeszowa dziwili się, że u nas każdemu milicjantowi mówią „dzień dobry”,



co się u nich rzadko zdarza...

Swego rodzaju hobby sierżanta jest zapoznanie młodzieży z przepisami ruchu drogowego. Z pomocą kolegów przeszkolił już kilkuset uczniów dynowskich szkół, którzy pragnęli zdobyć karty rowerowe. Sierżant lubi spotkania z młodzieżą szkolną, harcerzami i przebywającymi latem w mieście kolonistami. Ma osobistą satysfakcję, że wspólnie z kolegami doprowadził do sytuacji, w której wypadku w mieście ze świeżką szukać. I to jest — jego zdaniem — najlepszy dowód, że praca nie poszła na marne. Satysfakcja większa od niejednej nagrody czy odznaczenia.

ZB

CZY SZYBCIEJ NIE MOŻNA?

W pociągu relacji Kraków — Zamość jechał Jan B. Był zmęczony. Rozsiadł się więc wygodnie, a obok siebie postawił podróżną torbę. Zdrzemnął się beztrzesko... Zauważył to przechodzący przez wagon młody, bo liczący zaledwie 20 lat, nigdzie nie pracujący Ryszard Tucki. Postanowił skorzystać z okazji. Nie namyślając się, sięgnął do torby i wyjął z niej portfel z bogatą zawartością (240 tys. zł) oraz jedną ze znajdujących się tam trzech butelek wódki Schwał lup i usiłował odejść. Nie udało mu się to jednak, gdyż jego postępek widział inny pasażer, który energicznie zareagował i doprowadził R. Tuckiego do konduktora.

Potem, normalną koleją losu, odbyła się rozprawa i sąd wymierzył złodziejowi karę 2 lat pozbawienia wolności z zawieszeniem na 3 lata oraz 3 tys. zł grzywny. Otrzymał on ponadto dozór kuratorski, zobowiązany został do powstrzymania się od nadużywania alkoholu i odpracowania, nieodpłatnie, na cele społeczne, 20 godzin oraz wpłacenia kwoty 3 tys. zł na rzecz skarbu państwa.

Podobnych złodziejskich wy-czynów bywa wiele i kończą się one na ogół podobnie — surową karą. Cóż jest więc ciekawego w opisanym zdarze-

niu, iż zdecydowałem się przedstawić je czytelnikom?

Niezwykłą wydaje mi się beztrzeska Jana B., który — ot, tak sobie, zwyczajnie — włożył kupę pieniędzy do torby i w publicznym środku lokomocji pozostawił ją właściwie bez opieki, gdyż spokojnie drzemał.

Zadziwia mnie w tej historii jeszcze coś — ale o tym czytelnicy, jak dotąd nie wiedzą. Otóż kradzież miała miejsce 26 lutego br., a sprawa znalazła sądowy epilog 21 sierpnia, czyli prawie po pół roku! Ta „rychliwość” sprawiedliwości (nie jedyny to jej przykład) jest dla mnie niepokojąca.

Dla uspokojenia naszych regionalnych sumień informuję, iż Prokuratura Rejonowa w Lubaczowie (która prowadziła dochodzenie, z uwagi na to, iż kradzież nastąpiła na terenie województwa przemyskiego, gdy pociąg znajdował się wówczas w pobliżu Oleszyc) akt oskarżenia sporządziła już 31 marca. A co działo się ze sprawą przez następne 5 miesięcy? Nie wiem. Wiem tylko, że wyrok zapadł w Sądzie Rejonowym w Tomaszowie Lubelskim...

J. GOTAR



Joanna bulwersuje opinię

Joannę C. podejrzewano, że ma skłonności do dziewczynek, zupełnie jak większość moich znajomych, mężczyzn zresztą. Podejrzewano ją dlatego, że była to kobieta urodziwa, która miała duże powodzenie, ale zupełnie z niego nie korzystała. Urody kobiecej nie da się dokładnie opisać ani wypowiedzieć własnymi słowami, gdyż można co najwyżej podać wielkość i kolor oczu, barwę włosów, wzrost, numer biustu i inne takie cechy charakterystyczne, bardziej nadające się do listu gończego, niż do stworzenia kobiecego portretu. Krótko mówiąc, Joanna C. należała do dziewczyn o nieprzeciętnej urodzie, ale lata mijały, a ona nie mogła zdecydować się na zmianę stanu cywilnego. Najczęściej przebywała w towarzystwie koleżanek, przeważnie szarych i nieciekawych larw, na których tle wyglądała jeszcze piękniej. Zawiedzeni adoratorzy propagowali zatem opinię, że najprawdopodobniej lubi ona kobitki albo cierpi na wyjątkową oziębłość. Nieustannie towarzystwo koleżanek przemawiało raczej za tym pierwszym.

Co jakiś czas Joanna wyjeżdżała z rodzinnych stron, przeważnie na kilka tygodni po czym wracała w lepszym nastroju, modnie ubrana, bardziej elegancka. Gdy pytano ją, gdzie była, odpo-

wiadała, że za granicą, na wy-cieczce z „Orbisem”.

Orbisowskie wycieczki przypominały trochę wyświetlanie slajdów z obcych krajów, bowiem — podobnie jak na slajdach — ogląda się mury oraz krajobrazy, niczego w zasadzie nie wiedząc o tamtejszych ludziach. Ktoś, kto choćby na filmie widział plac św. Piotra w Rzymie oraz Colosseum na obrazku w szkolnym podręczniku, może z powodzeniem przelotnie o pobycie we Włoszech i dokładnie opisać co ważniejsze zabytki. Kiedy więc pytano Joannę, jak jest w tych tam Włoszech na przykład, odpowiadała, że bardzo pierwsorzędnie. Ruiny robią duże wrażenie, zwłaszcza nocą, gdy są starannie oświetlone, że na balkonach suszą się gacie, że Włosi strasznie szybko i głośno rozmawiają i że w sklepach jest wszystkiego pełno.

Stuchający tych opowieści rozdziewiali gęby i zazdrościli Joannie podróży, zastanawiając się jednocześnie, skąd ma na to pieniądze — zważywszy że nigdzie nie pracowała.

— Musi mieć jakieś układy i powiązania — domyślił się mieszkaniec malej miejscowości, z której wywodziła się ta dziewczyna. — Inaczej nie mogłaby tak często wyjeżdżać...

Była to zatem kobieta tajemnicza, trochę z gatunku tych, które w dawnych cza-

sach z radością palono na stosie. Nie da się ukryć, że owa tajemniczość jeszcze bardziej frapowała mężczyzn, lubiących kobiety niezwykle. Zdarzyło się kiedyś, że Joanna dłużej niż zwykle nie było w rodzinnej miejscowości i już zaczynało powołać o niej zapominać, ale wtedy właśnie zjawiała się ponownie, wywołując jeszcze większe zainteresowanie swoją osobą. Wynikało to stąd, że znajdowała się w tzw. stanie błogostawionym.

Miejscowi adoratorzy czuli się zawiedzeni, zaś miejscowe kobiety, zwłaszcza starsze, dopytwały się nieustannie, czy Joanna wyszła za mąż. Zaczęły krążyć najrozmaitsze plotki, wygłaszano różne cmoje-boje, snuto wiele domysłów na ten temat. Najbardziej drażnił wszystkich nieczym nie zachowany spokój ciężarnej, która — jakby nigdy nic, — chodziła na spacer, spotykała się z koleżankami, dumnie nosząc swój coraz bardziej pękający brzuch i zupełnie ignorując wszelkie pytania na temat ojca, męża, ślubu itp. spraw.

Prawdziwa bomba wybuchła jednak nieco później, tj. po urodzeniu się dziecka. Jeszcze zanim Joanna C. pokazała się na ulicy, gruchnęła pogłoska, że urodziła coś zupełnie dziwnego. Mieszkańcy spokojnej i cichej miejscowości o niczym innym prawie nie mówili. Dziecko Joanny stało się tematem bardziej nawet popularnym, niż rozmowy o kolejkach, kartkach na majtki, rajstopy i ścierwo. Ludzie nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie dziewczyna pokaże się na ulicy, a gdy wreszcie doczekali się — znów była sensacja.

Joanna C. wyszła na pierwszy po urodzeniu spacer z wózkiem zagrancyjnego pochodzenia, jak zwykle opanova i uśmiechnięta, zaś w wózku tym, do którego wszy-

scy nachalnie i bezpardonowo zaglądali, wiozła niemowlę płci męskiej (o czym chętnie informowała pytających), z tym tylko, że było ono innej rasy niż nasza. Trudno nawet dokładnie rasę tę określić. Niektórzy powiadali, że po prostu puściła się z Murzynem w czasie swoich wędrówek po świecie, ale inni byli zdania, że to jednak nie jest Bambo.

— A ja ci mówię, że to najwykleszy „negatyw” — żartowali młodzieńcy.

— Mulat raczej... — twierdzili znawcy.

— Kiedy na Mulata też nie bardzo pasuje...

— „Zóttek” jakiś, Chińczyk, czy inny „japoniec”...

— Ale oczu nie ma skośnych...

— A może to dzieło dwóch dziewczynek? Tak gwarzyli sobie współmieszkańcy, a Joanna nadal nosiła się dumnie, z godnością, jakby urodziła blondwłosego bobaska z najbardziej prawnego łóża.

W jakimś czasie potem, gdy plotki i domysły nieco ucichły i miejscowa ludność przyzwyczaiła się do egzotycznego obywatela, Joanna znów dostarczyła im nowej sensacji. Któregoś dnia z mieszkania jej dobiegło kwilenie dziecka, nasilające się coraz bardziej, przechodzące wreszcie w szmatyczny płacz. Zaczęli zbierać się ludzie, pukano do drzwi, ale nikt nie otwierał. Wezwano zatem milicję, która weszła do środka i zastała taki oto widok: na łóżeczku leżał ciemnozłoty bachor i wrzeszczał jak opętany, ale miał do tego prawo, gdyż już wstępne oględziny wykazały, że od dłuższego czasu nie był przewijany i najprawdopodobniej także nie karmiony. W mieszkaniu, oprócz niego, nie było nikogo.

Dziecko zabrała jedna z

kobiet o najbardziej litościwym sercu, milicja zaś rozpoczęła poszukiwania Joanny C., ale niepotrzebnie, gdyż ta zjawiała się w kilka godzin po tym zdarzeniu. Milicja zarzuciła jej brak należytej opieki nad dzieckiem, ona zaś przyznała się do tego, usprawiedliwiając się jednak, że musiała wyjechać na kilka godzin, więc zostawiła dziecko w mieszkaniu, a potem zdarzyła się jej pewna przygoda, o której woli nie mówić, przez co spóźniła się znacznie. Kosztowało ją to — wyznała — wiele zdrowia i nerwów.

Na wszelki wypadek, za-wiadomiono prokuratora oraz rozpoczęto postępowanie, którego celem było ustalenie bliższych szczegółów z życiorysu Joanny C. Wynikł znów zbulwersowały opinię malej miejscowości. Okazało się mianowicie, że piękna Joanna jest zawodową prostytutką, uprawiającą ten stary fach od wielu lat, głównie w luksusowych hotelach wielkich miast. Należała do grona „dewizówek” i to kategorii „lux”, czemu zresztą trudno się dziwić, zważywszy jej wyjątkową urodę. Dziecko zaś było owocem płatnej miłości z pewnym Arabem i zostało poczęte przez przypadek, czyli jakiejś zawodowej niedopatrzności.

Jeśli już tyle napisaliśmy o szoku, jakiego nieustannie Joanna dostarczała swym współmieszkańcom, to dodajmy jeszcze jeden. Taki mianowicie, że w kilka miesięcy po tym wszystkim przyjechał do tej miejscowości autentyczny Arab, przypominający szejka i zabrał Joannę oraz pachole do swego dalekiego kraju. Ona zaś, nie bacząc na konflikty w świecie arabskim, ani na zapowiedź ropy w Karlinie, spakowała manatki i tyle o niej słyszano...

JAN M.

„WOJNA PODJAZDOWA” TRWA!

Pisaliśmy o tym wiele razy. Nie poskutkowało, wszystko odbywa się po staremu. Chodzi o ustalanie terminów rozgrywania meczów przez przemyskie kluby. Nadal triumfuje wzajemna złośliwość i brak jakiegokolwiek współpracy, szacunku dla partnera i kibica również.

W niedzielę, 20 września, po meczu szczyptorników JKS, rozpoczęły się w przemyskiej hali sportowej interesujące walki bokserskie i w tym samym czasie Czujawaj urządził sobie mecz z Pogonią. Serca kibiców były w rozterce, część kłęba, zwracając pod adresem „geniuszy” od organizacji imprezy. Wielu, z językiem na brodzie, kursowało na trasie: hala WOSiR — stadion Czujawaj. Kto wybrał jedną imprezę (a musiał, bo dwóch się nie dało), nie dał zarobić organizatorom drugiej — straciła zarówno Polna, jak i Czujawaj.

Za tydzień, 27 września, było podobnie. O 10.30 mieli zacząć mecz piłkarze ręczni Czujawaj, w pół godziny później na boisku Polnej rozpoczął się od dawna oczekiwany pojedynek „metalowców” z liderem III ligi — Lublinianką. Na sobot-

nim meczu szczyptorników ktoś sobie przypomniał, że na jutro godzina 10.30 będzie kolidowała z meczem Polnej i postanowił, aby „ręczna” rozpoczęła się o godz. 10. Mimo to, chętni na pojedynek piłkarski mogli obejrzeć najwyższą drugą połowę. Część z nich zrobiła inaczej — zrezygnowała z wizyty w hali WOSiR, chociaż chciała „obskoczyć” dwie imprezy. Tym prostym sposobem klubowi sąsiedzi zza między dostali po kieszeni — tracąc niepotrzebnie kibiców, tak minimum po dwustu na każdym meczu, czyli po 5-6 tysięcy złotych. I dzięki komu?..

Prezesa urządzają sobie dowcipy, swawolne harce kosztem publiczności i klubowych interesów w tym roku kas, robiąc wrażenie „Onassisów”, którym na groszu absolutnie nie zależy. Słowem — „wojna podjazdowa” pomiędzy Czujawajem a Polną trwa. Może by tak raz, dla dania po nosie temu duetowi, kibice zastrajkowali i idiotycznie zaplanowane spotkania odbyły się przy pustych trybunach, z kilkoma tylko prezesami w roli „widowni”?

J. NADZIEJA

W memoriale Wacława Kuchara

TRAMPKARZE PRZEMYSKIEJ POLONII ZDOBYWCAMI PUCHARU

W ubiegłym miesiącu minęła 84 rocznica urodzin zmarłego w lutym br., Wacława Kuchara — wielkiego sportowca Polski lat przedwojennych i powojennych. Był jednym z najwyszczehniejszych naszych zawodników. Mało jest dyscyplin, których by nie posmakował, a w kilku zaskazył się wybitnie: w piłce nożnej, lekkoatletyce, hokeju na lodzie, łyżwiarstwie szybkim, tenisie, gimnastyce i łyżwiarstwie. Znał go przede wszystkim jako świetnego piłkarza. Mając 14 lat, zadebiutował w pierwszej drużynie Pogoni Lwów, w której występował wraz ze swoimi pięcioma braćmi. Rozegrał rekordową liczbę spotkań — 1052, w których zdobył 1065 goli. 49 razy reprezentował barwy Lwowa, a 25-krotnie przywdziewał koszulkę z białym orłem w meczach międzypaństwowych. Po II wojnie światowej W. Kuchar był związany z Polonią Bytom, która przyjęła tradycje i barwy lwowskiej Pogoni. Później osiadł w Warszawie. W ankiecie, zorganizowanej z okazji 50-lecia czasopisma „Piłka nożna”, na najlepszego piłkarza Polski lat 1921-1969, W. Kuchar znalazł się na trzecim miejscu za Gerardem Cieślikiem i Lucjanem Brychajem. W 1957 r., z okazji 50-lecia swej sportowej działalności, otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

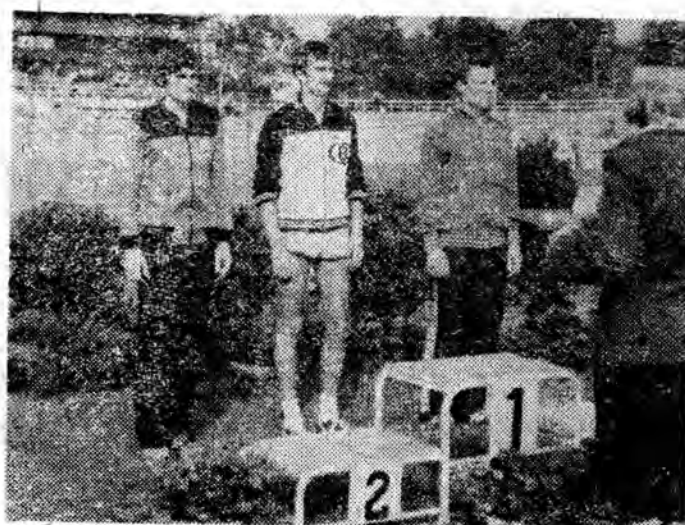
Postać Wacława Kuchara związana jest także z Polonią Przemyską. Dlatego też jej trampkarze, obok Polonii Warszawa, Polonii Bytom, Orlą i Ślązy Wrocław, zostali zaproszeni do wzięcia udziału

w I turnieju piłki nożnej o memoriał W. Kuchara, zorganizowanym pod patronatem PZPN i Dolnośląskiego Okręgu Piłki Nożnej. Młodzi przemyscy piłkarze, trenowani przez Ryszarda Kogutkiewicza (kierownik zespołu — Kazimierz Switajło), odnieśli we Wrocławiu duży sukces, zdobywając 1 miejsce, bez straty punktu i bramki. W pierwszym spotkaniu przemyślanie pokonał w swojej grupie rówieśników warszawską Polonię 2:0 (1:0), uzyskując gole ze strzałów Jacka Fałki i Roberta Pudlika. W następnym meczu rozgromił 3:0 (7:0) miejscową Ślązę. Bramki dla naszego zespołu zdobyli: R. Pudlik 4, Józef Wolanin 2 oraz J. Fałek i Marek Schmidt po 1. W finałowym pojedynku o 1 miejsce w turnieju młodzieży Polonii Przemyskiej zmierzali się z mienniczką z Bytomią. Przemyslanie nie zawiedli i w tym meczu wygrywając 1:0 (1:0). Zdobywcą jednego gola był J. Fałek.

Młodzi piłkarze przemyskiej Polonii otrzymali w nagrodę dyplom i puchar z rąk córki W. Kuchara — Elwiry Kuchar-Bielawskiej. Okolicznościowe proporce wręczył Jan Boczej — były piłkarz Pogoni Lwów i Polonii Bytom. Warto także zaznaczyć, że R. Pudlik został „królem strzelców” memoriału (zdobył łącznie 5 bramek).

Drugi piłkarski turniej trampkarzy o memoriał W. Kuchara odbędzie się za rok. Być może jego gospodarzem będzie Przemysk.

(wb.)



Medaliści lekkoatletycznych Mistrzostw Europy USIC w Dreźnie w biegu na 1500 m. Pierwszy z prawej — Andrzej Pichur.

„BRĄZ” W DREZNIU

W Dreźnie (NRD) rozegrane zostały VI Lekkoatletyczne Mistrzostwa Europy Federacji „Kolejarz” (USIC), w których startowały reprezentacje 18 państw, w tym także Indii i Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. W 23-osobowej ekipie Polski na te zawody znalazło się m. in. 4 przedstawicieli Kolejowego Klubu Sportowego Czujawaj w Przemysku: Barbara Wiśniowska, Marek Jajuga, Andrzej Pichur i Jan Czastka. Jedynym z trenerów naszej reprezentacji był przemyski szkoleniowiec Zdzisław Michalski.

Podczas trzydniowych zawodów, w trakcie których ustanowionych zostało 27 nowych rekordów mistrzostw USIC, spośród lekkoatletów Czujawaj najlepiej spisał się średniodystansowiec Andrzej Pichur. W biegu na 1500 m zajął on 3 miejsce z czasem 3:49,29, zdobywając brązowy medal. Zwyciężył na tym dystansie reprezentant Belgii — Lefevre (3:38,65), przed zawodnikiem NRD — Killingiem (3:49,06). Wynik, uzyskany przez przemyskiego biegacza, jest zaledwie o 13 setnych sekundy gorszy od jego rekordu życiowego. Medal, zdobyty przez A. Pichurę, był jedynym z trzech „krajków” wywalczonych przez Polskę. Oprócz niego, „brąz” dostał się także w ręce Elżbiety Michalczak (Polonia Warszawa) za zajęcie 3 miejsca w rzucie dyskiem (40,46), a Czesław Duraj (Kolejarz Katowice) został srebr-

nym medalistą mistrzostw w biegu na 800 m z czasem 1:51,44. Drużynowo męską ekipę Polski sklasyfikowano na 8 miejscu, a kobiecą na — 10. W obu punktacjach zwyciężyli reprezentanci ZSRR.

Jak zakończył się start pozostałych lekkoatletów Czujawaj? J. Czastka był dosłownie o krok od podium, przegrywając walkę o brązowy medal w biegu na 800 m zaledwie o 17 setnych sekundy. Ostatecznie zajął on na tym dystansie 4 lokatę, a w biegu na 1500 m, w następnym dniu, uzyskał 16 czas (na 27 startujących) — 4:01,13. B. Wiśniowska zakwalifikowała się do finałowej stawki biegaczek na 800 m, zajmując w niej 8 miejsce z wynikiem 2:15,93. Ponadto była ona jedenastą na dystansie 1500 m (4:46,49), a w sztafecie 4x100 wspólnie z koleżankami wywalczyła 5 pozycję. M. Jajuga w biegu na 3 km z przeszkodami uplasował się na 9 miejscu (9:40,08), a na dystansie 5 km zajął 20 lokatę.

Warto przypomnieć, że medal Andrzeja Pichurę jest już drugim „kruszcem”, wywalczonym w tego typu imprezie przez lekkoatletów Czujawaj. W 1962 r. Jarosław Klymński (obecnie trener tego klubu) zdobył srebrny medal w biegu mistrzostw Europy Federacji „Kolejarz” (USIC), rozegranych w Krakowie.

(wb.)

NA TENISOWYCH KORTACH

Na kortach przemyskiego Czujawaj rozegrano indywidualne mistrzostwa okręgu juniorów i okręgowy turniej klasyfikacyjny seniorów w tenisie ziemnym. Oprócz gospodarzy, w zawodach startowali reprezentanci Stali Stalowa Wola, SKT Sanok, Czarnych Rzeszów i Stali Łańcut. W obu imprezach dobrze spisali się zawodnicy i zawodniczki Czujawaj, zajmując w nich kilka czołowych lokat.

W grze pojedynczej dziewcząt podczas mistrzostw okręgu juniorów, przemyskanka Anita Plicner wywalczyła 3 miejsce, a jej koleżanka klubowa Ewa Szmigleńska była czwartą. W grze podwójnej tenisistki te zdobyły drugą lokatę. Na 3 pozycji znalazły się także

reprezentantki Czujawaj: Katarzyna Niemiec i Jadwiga Szmigleńska. Wśród chłopców Wiesław Forst z Przemysła zajął 1 miejsce, a jego kolega klubowy Jacek Głowniak sklasyfikowany został na III pozycji. Ten duet okazał się bezkonkurencyjny także w grze podwójnej.

Grą pojedynczą seniorów podczas okręgowego turnieju klasyfikacyjnego zakończyła się zwycięstwem reprezentantki Stali Stalowa Wola — Anny Solonek przed E. Szmigleńską z Czujawaj. W grze podwójnej seniorów przemyska para: Wacław Lisowski i Czesław Małik wywalczyła II miejsce.

(w.)

SOBOTA-NIEDZIELA



STAL SANOK — POLNA 0:0. Mądra i uważna gra formacji obronnych oraz pomocy „metalowców” nie pozwalała gospodarzom na przeprowadzenie akcji ofensywnych, groźnych dla bramki Jęczkowskiego. Gra toczyła się przeważnie w środku pola i napastnicy obydwu rywali nie wypracowali sobie dogodnych sytuacji strzeleckich.

CZUWAJ — RESOVIA II 1:1 (1:1). „Kolejarze” — mimo kilku doskonałych okazji — zdobyli tylko jedną bramkę ze strzału Stańczuka (przy stanie 0:1). Znów nie dopisała Czujawajowi precyzyjna strzelecka i piłkarskie szczęście (dwukrotnie ratowały gości żupek i poprzeczka). W sumie, kolejna zaprzeczona szansa na zwycięstwo i nadrobienie strat do liderów.

JKS — GŁOWIENKA 2:0 (2:0). Na dobrą sprawę goście powinni opuścić Jarosław z bagażem 5-6 bramek, ale na przeszkodzie stanęli... napastnicy JKS (m. in. Mazianek i Balicki), którzy dali kolejny popis strzeleckiej „niemocy”. Bramki: — A. Baranek i Papciak.

ATOS — POGOŃ 3:4 (2:3). W 39 minucie gry Pogoń prowadziła już 3:0 i zamiast pomyśleć o zwolnieniu tempa atakowała nadal, zapominając o obronie własnej bramki, co skutecznie wykorzystali gospodarze. Klasyfikacyjnym hat trickiem popisał się Krzyszowski, czwarta bramkę zdobył Niedźwiedzi.

STAL II — POLONIA 2:0 (2:0). W pierwszej części gry wyraźnie przewagę mieli przemyslanie, ale wystarczyły dwa błędy bramkarza, aby stalowcy odnieśli szczęśliwe zwycięstwo. W 80 min. R. Panek nie wykorzystał rzutu karnego, a w ostatnich sekundach idealną okazję zaprzepaścił Mroziak.

Tabela: III liga 5. Polna — 11 pkt. (za Lublinianką — 17, Wawelem i Unią po 13 oraz Koroną — 12); Klasa „M” 3. Czujawaj i 4. JKS — po 14 (prowadzi Zelmer — 19 przed Lechią — 16), 5. Pogoń — 12 i 12. Polonia — 9 pkt.



Nie powiodło się sędemce Czujawaj w wyjazdowych spotkaniach z wrocławskim AZS. „Kolejarze” dwukrotnie niespodziewanie ulegli akademikom (19:27 i 19:28) i spadli z trzeciego na siódme miejsce w tabeli.

ZYCIE
PRZEMYSKIE

TYGODNIK PZPR

WYDAWCA. RSW „Prasa-Książka-Ruch” Rzeszowskie Wydawnictwo Prasowe, 35-000 Rzeszów, ul. Marchlewskiego 15.
REDAGUJE ZESPÓŁ. ADRES REDAKCJI: 35-700 Przemysk, ul. Warszalskiego 15 (III p.). Telefon: redaktor naczelny i jego zastępca oraz redaktor techniczny 23-84 sekretariat i polski dziennikarz 22-99
OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Ogłoszeń i Reklam 35-115 Rzeszów, ul. Warszalska 3 i tel 246-52. sekretariat redakcji oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju.
INFORMACJE O WARUNKACH PRENUMERATY udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 90 zł. Prenumerata cała decennie wywodzi za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-354 Warszawa ul. Towarowa 22 konto N° 1153-201045-138-11. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 10 procent dla subskrybentów indywidualnych i 100 proc dla stowarzyszeń instytucji i zakładów pracy.
DRUK: Rzeszowskie Zakłady Graficzne w Rzeszowie.
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA NIE ODPOWIEDA. OFERTY NA REDAKCJĘ NIE PRZYJMUJEMY.
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIE ZAMÓWIONYCH.
Nr indeksu 28512

PL ISSN 0203-3094



Kryzys paliwowy coraz dotkliwiej odczuwają posiadacze czterech kółek. Październikowa sytuacja jest jego dobitnym potwierdzeniem. Pojawili się apele, by ograniczyć jazdy o 20 proc., bo o tyle ponoć zmniejszyły się w tym miesiącu dostawy paliw płynnych. W ślad za tym poszła obietnica, że listopad będzie laskawszy. Ano, zabaczymy...

Fot. TERESA ZIEMBOLEWSKA



— To zaszczyt znać takiego racjonalizatora...

— Eee tam, ten cienki dymek z kominów ciepłowni zawdzięczamy niedostatkowi w zaopatrzeniu w węgiel...

Rys. E. KMIECIK

SZMAL

Spółdzielnia „Vita” w Lubinie w woj. legnickim wie, że żyje. Badania wzroku polegające na czytaniu planszydła kosztuje 200 zł. Patrzenie przez szkiełko, co jest dodatkowym badaniem, kosztuje dodatkowo, a jakże 260 złotych. Czas obu badań 5 minut. Na godzinę okulista zarabia 2780 zł. Wypisanie recepty jest już darmowe, czym bywalcy „Vity” powinni być zachwyceni. Informację powyższą należy uznać za reklamę spółdzielni, za co należy się nam 8 tysięcy złotych.

(„Nowa Miedz”)

FRYZJERSKA DOLA

Podwyżka cen za usługi nie została dobrze przyjęta przez fryzjerów, gdyż jednocześnie obniżono procent ludziom „pracującym w produkcji”. Wraz ze zmianą cen zatrudniono bowiem kasjerów. Tak więc nadwyżki z regulacji przeznaczone są na opłacanie nowego etatu.

(„Trybuna Wałbrzyska”)

WYPADEK

Na ulicy Mickiewicza w Koninie przewrócił się „żuk” Ochotniczej Straży Pożarnej z Przyjmy. W środku znajdowały się 23 skrzynki z winem. Każdy by się przewrócił!

(„Przebieg Koniński”)

KTO ZA TO PŁACI?

Dyrektor Lubelskiego „Polmózbytu” twierdzi, że nikt nie zwraca uwagi na to, co dzie-



je się z samochodami w czasie transportu. Dosłownie co czwarty wóz jest ograbiony z kół zapasowych, akumulatorów, często — porysowany, pogięty, z wybitymi szybami. („Sztandar Ludu”)

KARPIE DO BASENÓW

W Warszawie na osiedlu Ursynów boisko piłkarskie przeznaczono na działki ogrodnicze. Iniektorzy akcji „zamieniamy stadiony na zagony” zastanawiają się teraz, czy aby nie pójść na całość i nie wpuścić karpi do basenów.

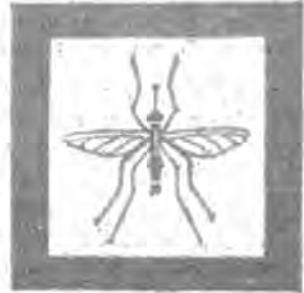
(„Głos Nowej Huty”)

SMACZEK

Ceny uszkodzonych samochodów na licytacjach osiągają znacznie wyższy poziom od samochodów nowych. W związku z tym „Polmózbytu” wyjaśnia, że nic na tym nie zarabia, że nadwyżka trafia wprost do skarbu państwa. Tak więc to cała PRL robi operacje, całkowicie praworządne, ale swój specyficzny smaczek mające.

(„Głos Huty Katowice”)

Wybrał: W. MASŁOWSKI



ZŁOTO W KUFLU

Reglamentacja alkoholu wyręczyła w znacznym stopniu działaczy różnych społecznych komitetów, przede wszystkim zaś przeciwalkoholowego. Nie mając się czego imać, biorą się oni teraz za byle robotę, tacy już są pracownicy. Dzielnie sekundują im w tym urzędnicy handlu, na tyle w tych czasach skotawani, że skłonni do największych głupstw w imię świętego spokoju. Sprawa dotyczy piwa.

W Przemysłu walczy się z tym napojem, jak z największym wrogiem. Zamyka się piwiarnie, nie otwiera rzecz jasna, nowych, wycofuje piwo z lokali, na piwoszy patrzy się jak na degeneratów po szóstym leceniu odwyko-

wym. Gdy tylko jakiś pijaczek wysika się w bramie, natychmiast redagowane są oświadczenia różnych poważnych obywateli, wsparte parafką Odpowiednio Ważnej Instytucji, domagającej się zaprzestania sprzedaży tego płynu „rujnującego społeczna moralność”.

Z piwem — podejrzewam — walczą wódczarze, czyli zahartowani w bojach zwolennicy konkretnego trunku, mający stare i — niestety — nasze, polskie zasady, polegające na tym, by wypić szybko, dużo i wprowadzić do organizmu jak największą gradusów. Piwo, zgodnie z tymi poglądami, służy tylko jako „utrwalacz”, względnie napój dla uboższych, których nie stać na wódkę. Nic bardziej błędnego.

Piwo jest obecnie znacznie droższe od wszelkich innych alkoholi, jeśli popatrzed na zagadnienie z punktu widzenia alkoholika. Znacznie więcej bowiem pieniędzy trzeba wydać, by opić się piwem, niż wódką, choćby gatunkową. Ten prymitywny na pozór wywód jest mocnym argumentem przeciwko tym wszystkim, którzy z takim zapalem walczą z chmielowym napojem.

W kilku krajach, na całym świecie, tych przede wszystkim, które biją nas na głowę w kulturze picia, piwo jest pod dostatkiem — o każdej porze, w każdym niemal miejscu, nie wspominając już o tym, że podaje się

je w odpowiedniej temperaturze, estetycznym szkle itp. Ponadto na jednej ulicy znajduje się kilka lokali z piwem, a w innych nawet miejscowościach — kilkadziesiąt. Powoduje to, że w każdym z nich jest zaledwie po kilka osób, nie ma więc tłoku i przepychanek do szynkwasu. Im więcej lokali, tym większa kultura — nigdy zaś na odwrót, jak to próbuje się u nas lansować, bardziej zresztą z wygodą i bezradności, niż z samej tylko niewiedzy.

Obecnie, kiedy występują tak znaczne trudności z nabyciem trunków o „wyższym oktanie”, jest szczególna szansa, aby wprowadzić zwyczaj spożywania napojów o niskiej zawartości alkoholu, a to stanowić może podstawę do wyjścia z „kryzysu kultury picia”. Browar w Leżajsku — jak informują agenci (oni wiedzą najlepiej, bo mają lepsze wejścia i staranniejszą w trosce o swoje lokale) — produkuje nie mniej piwa niż kiedyś i może go dostarczać w potrzebnych ilościach. Chodzi tylko o to, aby pracownicy handlu, inspirowani przez zakłamanych partyzantów do walki z opilstwem, nie dali się zwariować i dążyli do rozszerzenia sieci placówek sprzedających złocisty napój, nie zaś — jak dotąd bywało — coraz częściej tę sprzedaż likwidowali z byle jakich powodów.

MARCIN NOWINA



— Dziadziu, po co ci te półtrodki?
— Zamienię je na wino...

Rys. E. KMIECIK

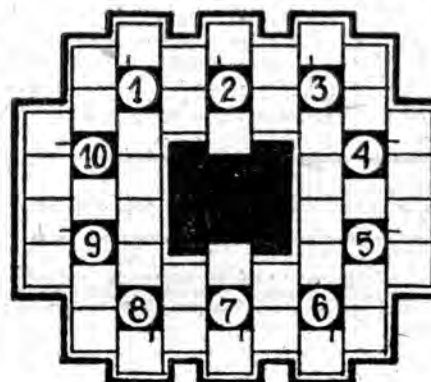
Afryka go nie nęci

Mieszkaniec Buszkowic p. Feliks Partyka ma w swym obejściu gościa, który mimo sytuacji ogólnej nie zdecydował się na zagraniczne wojaże. Jest nim bocian, który prawdopodobnie z powodu kontuzji nie podążył na południe, jak jego krewniacy. Obecnie doszedł do formy: spaceruje i nawet próbuje latać.

Ptak stanowi atrakcję dla miejscowej dzieciarni, która dostarcza mu pożywienia. Z powodu braku żab bocian dożywia się myszami, które wspaniałomyślnie odstępuje mu kot właściciela. Miejsce noclegowe zarezerwował sobie nasz gość w kurniku gospodarskim, ale mimo to dokuczają mu jesienne chłody.

Pan Partyka zaopiekował się przybyłym tymczasowo, nie ma bowiem doświadczenia w hodowli tak nietypowego „drobitu”. Kto więc przyjmie na siebie ten miły acz nieco kłopotliwy obowiązek?

WIRÓWKA



Znaczenie wyrazów: 1) szkorbut, 2) miasto u ujścia Bugu, 3) miasto w Hiszpanii, 4) 15 sztuk, 5) należący do wymierającego pokolenia, 6) utwór liryczny o tematyce żałobnej, 7) porozumienie, związek, 8) w silnikach spalinowych w niej odbywa się spalanie mieszanki, 9) sąsiadka Gomory, 10) grecki bóg słońca.

Termin nadsyłania rozwiązań, dwa tygodnie (tylko na kartach pocztowych). Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród książkowych.

DZIĘKUJEMY!

* Wypoczywając w słonecznej Bułgarii pamiętał o nas dyrektor Rzeszowskiego Wydawnictwa Prasowego mgr Józef Krajnik. Karteczkę z pozdrowieniami otrzymaliśmy ze Złotych Piasków.

* Z pobytu w Księżwiesie Luksenburg napisała do nas p. Alicja Makarowska.

* Z Krakowa, gdzie odbywało się plenum okręgowej rady związkowej Związku Zawodowego Pracowników Łączności, oryginalną karteczkę z pozdrowieniami przesłał p. Józef Krawczyk.

Jerzy Leszczyński

MYŚLI LUZEM

Nie wymagajmy cudów od świętych — wystarczy, jeśli będą uczciwi.

— * —

Apetyty nie świadczą jeszcze o tym, że społeczeństwo jest zdrowe.

— * —

Wkradanie się w łaski powinno być traktowane na równi ze zwykłą kradzieżą.

— * —

Chcący nabyć widły nie powinni obrażać się, gdy sprzedawca do diabła go posyła.

— * —

Łatwiej oderwać się od nieprzyjaciela niż od przyjaciółki.

— * —

Maszyna zastępuje człowieka — ale jeszcze nie tego, który ją obsługuje.